



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

DK  
4626  
.G6  
v.2

# Biblioteka Dzieł Wyborowych.

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.



## Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3

Za odnośnienie do domu 15 k. kwart.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

## Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . .	rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . .	rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . .	rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.



REDAKTOR: ZDZISŁAW DĘBICKI.

WYDAWCA: KAZIMIERA GADOMSKA.





№ 540.

# **Biblioteka Dzieł Wyborowych.**

---

**Wiktor Gomulicki.**



# **Opowiadania o Starej Warszawie**

**Serya II.**

**Cena 40 kop.**  
**W prenum. 30<sup>1</sup>/<sub>2</sub> kop.**

**WARSZAWA**

**Redakcja i Administracja Warecka 14. Tel. 114.30.**





**Opowiadania ≡≡≡  
o Starej Warszawie.**




1

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Wiktor Gomulicki.



Opowiadania   
o Starej Warszawie

Serya II.



WARSZAWA  
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.  
1908.

11.4626

11

11

## Kamienice w Rynku Staromiejskim<sup>\*)</sup>.

---

We wszystkich dotychczasowych opisach Rynku Starego Miasta poprzedzawano na wzmiance o kilku najwydatniejszych jego domach. Reszta wydawała się opisującym niegodną bliższej uwagi. Ja sędzę o tem inaczej. Dla mnie Rynek Staromiejski jest księgą, której wszystkie bez wyjątku karty powinny być odczytane. Jedne z nich zajmują więcej, inne mniej — nie wynika stąd jednak, aby którakolwiek bez szkody dla całości, mogła być wydarta.

Z czterech boków Rynku, każdy miał niegdyś swą nazwę urzędową. Nazwy te dla dzisiejszego czytelnika byłyby już niezrozumiałe. Zamiast nich postawimy inne, prościejsze i wskazujące zarazem stronę, w której się każdy z boków znajduje.

---

<sup>\*)</sup> *Serya I, patrz „Bibliot. Dzieł Wybor.” Nr. 153.*

Szczegółowy przegląd domów odbywać się będzie koleją dzisiejszych numerów policyjnych; tuż obok nich wskażemy numery hipoteczne.

### f. Bok Południowy.

(Pomiędzy Jezuicką i Świętojańska).

O tym boku ksiądz Kurowski napisał, że „nie posiada żadnego domu, do którego-by przywiązana była pamiątka głośnego czynu lub w dziejach wspomnianej osoby”. Zobaczymy zaraz oile to jest prawdą.

Pierwszy opis należy się domowi dziś już nie istniejącemu. Stał on na rogu Rynku i ulicy Jezuickiej, tam, gdzie znajduje się obecnie przedłużenie gmachów po-Pijarskich.

W wieku XVII dom ten był własnością rodziny Gizów (albo Gissów), liczącej się do patrycyatu Starej Warszawy. Rodzina ta posiadała również dom oboczny.

O Gizach mówi Jarzembski:

Gizowie od czasów dawni  
W urzędach są różnych sławni...

Potwierdzają to fakty.

Uczony biskup warmiński Tydeman Giza, żyjący w pierwszej połowie XVI-go w. z tego rodu pochodzi. Niejednostajność pisowni już przy jego nazwisku występuje wyraźnie. Nazywany jest naprzemian: Giza, Gissa, Gize (ta forma ustaliła się), Ghize, Ghise a wreszcie Gisius i Gizjusz. Łączyła go przyjaźń z Kopernikiem i Eraźmem z Rotterdamu *cieszył się też zaufaniem* Zygmunta Starego.

Prawie współcześnie z biskupem występuje Balcer albo Baltazar Giza, który jest rajcą Starej Warszawy.

Syn Balcera, Paweł, jest księdzem († 1624). Napis na jego nagrobku, dziś już nieistniejącym, utrwalił w swych „Monumentach“ Starowolski.

Mieli też Gizowie w rodzie swym i poetę. Na imię mu było Jan. Żył on i pisał ku końcowi wieku XVI-go, modą zaś ówczesną przewał się Gysaeus. Bentkowski wspomina za Janockim (Janociana I, 105) o dwóch jego wierszach, w młodym wieku napisanych, które się w Bibliotece Żaluskich znajdowały. Oto ich tytuły: 1-o *In obitum Sereniss. Stephani Regis Pol. etc.* (Kraków 1588, in 8-vo); 2-o *Charites Serenissimam Annam Reginam Pol. etc. in ingressu Cracoviam anno 1588 salutant. Joanne Gysaeo Varsavien. ad lyram tenero aelatis plectro praecinente.* (Kraków 1588 in 4-to).

Jedna z Gizanek (nazywana błędnie „Gizanką“) odgrywa nieciekawą rolę w erotyczno-melancholijnych fantazyach Zygmunta Augusta. Poślubił ją Michał (syn Jerzego) książę Wiśniowiecki. Inna (Anna) jest matką dziejopisa Rudawskiego. Rudawski nazywa ją „baronessą z przesławnego rodu Giszów we Frankonii“. Jest w tem przesada, ale częściowa tylko. Gizowie — jak niemal wszystkie rody mieszczańskie Starej Warszawy — byli pochodzenia niemieckiego; gniazdem też ich była podobno naprawdę Frankonia.

W początkach XVII-go w. Aleksander Giza piastuje urząd administratora komór solnych Mazowieckich.



Z lustracyi 1620 r. dowiadujemy się, że miał spór z mieszczanami Nowomiejskimi. Przedmiotem sporu była jego posiadłość sześciowlókowa, w obrębie Nowej Warszawy leżąca. Gizowie otrzymali przywilej na nią od Bolesława księcia Mazowieckiego. Nowomieszczanom nie było to na rękę, wystąpili więc energicznie przeciw libertacyi — której wszakże prawomocności pozbawić nie mogli.

W r. 1652 Mikołaj Konstanty Gize otrzymuje indygenat. Jednocześnie król Jan Kazimierz obdarza go przywilejem, uwalniającym od czynszów z folwarku we wsi Wielka Wola i z gruntów, półtrzeciej włóki obejmujących.

W epoce pierwszej wojny szwedzkiej, wslawia się Jan Aleksander Giza (syn administratora). Akta Starej Warszawy nazywają go naprzemian Janem, i Aleksandrem. Wprowadza to zamieszanie do genealogji Gizów, wśród których znajduje się współcześnie inny Aleksander, kanonik warszawski. Jest to zapewne młodszy brat tamtego.

Jan Aleksander Giza jest w r. 1655 właścicielem domu, o którym mówimy. Piastuje wówczas zaszczytną godność burmistrza Starej Warszawy. Na urząd ten wraca kilkakrotnie, co dowodzi jak wielkiem zaufaniem darzony był przez współobywateli.

W czasie najazdu szwedzkiego, gdy popłoch ogarnął całe miasto, on jeden głowy nie traci, i stanąwszy na czele obrony, umiejętnie nią kieruje. Zjednywa mu to przydomek: „Rząd Warszawy”.

Dwaj bracia Jana Aleksandra służył wojskowo, *Jakób jest rotmistrzem rajtaryi, Franciszek — ka-*



pitanem. Męstwo Jakóba, okazane przy wzięciu Torunia w r. 1658, zapisano w konstytucyach.

Ksiądz Aleksander Giza, kanonik warszawski, jest sekretarzem królewskim. W „Rewizji gospód“ z r. 1669 występuje jako właściciel opisywanego przez nas domu. W tejże Rewizji opisano i sam dom, jako posiadający „izb 5, sklepów 4, piwnic 3, kuchni 2“. Stawał w nim gospodą Biskup Warmiński.

Ksiądz sekretarz posiada grunta libertowane w Brudnie pod Warszawą.

Na początku wieku XVIII-go, dom Gizów przeszedł na własność Franciszka Witthoffa, burmistrza Starej Warszawy. Witthoffowie to również patrycysze staromiejscy.

Franciszek nosił przydomek: „Bogacz“, liczył się bowiem do najzamożniejszych obywateli miasta. Miał szczególne upodobanie do nabywania domów, których posiadał kilkanaście. Może czynił to w nadziei, że tym sposobem utrwali się w mieście na długo, jeśli nie na zawsze, potęga jego rodziny.

Stało się jednak inaczej.

„Bogacz“ miał jedyne go syna Stanisława, któremu, umierając (w r. 1719), pozostawił olbrzymi majątek. Nie spodziewał się, niestety, że ten syn będzie ostatnim z rodu. Stanisława wzięli w opiekę Jezuiti i tak długo mówili mu o marności dóbr doczesnych, że przywdział ich sukienkę i bogactwa swe zapisał zakonowi.

Wówczas też przeszedł do rąk Jezuitów i dom, który opisujemy.

*Dom ten, wcielony do gmachów klasztornych,*

uległ zupełnej przeróbce i był samoistny utracił. Od r. 1729, pozbawiony frontu i oddzielnej pozycyi hipotecznej, nie liczy się już do posesyi staromiejskich.

O przeszłości domu jedno jeszcze zapisać trzeba. Zanim został własnością Gizów, nazywano go „Zygmuntowskim“. Skądby ta nazwa powstała, dojść nie mogłem.

### № 1 (35).

Na tym domu znajdowała się dawniej tablica marmurowa z takim napisem:

D. O. M.

Nie dziw, że tak ta struktura wspaniała,  
Gdyż dwakroć Polskich tronów respekt miała.  
W ręku Walbachów wprzód libertowana,  
Z tym przywilejem w moc Gizom podana,  
Andrychiewiczów z Gizowskiej została,  
Których się kosztem tak reformowała.

Roku Pańskiego 1707, dnia 18 Października.

Jest to w streszczeniu kronika tej posesyi.

Pierwszy jej właściciel, Melchior Walbach, żyjący w wieku XVI był bogatym kupcem, a zarazem podwojewodzim warszawskim. Musiał położyć ważne zasługi dla miasta, skoro obdarzono jego dom libertacyą oraz innymi przywilejami. Jedno i drugie zostało aprobowane w r. 1677, gdy już dom był własnością Gizów.

Jak przeszłość całej Warszawy, tak i przeszłość tego domu, trudno odbudować z tego, co się *widzi obecnie*. Kilka zaledwie pozostałości stanowią

śląd niewyraźny i zatarty, po którym postępując ostrożnie, z dowodami archiwalnymi w ręce, dochodzi się do ułamkowego obrazu doby wczorajszej.

Samo rozejrzenie się w planie sytuacyjnym domu poucza, że był siedzibą rodziny możnej, prawie magnackiej. Jest to jakby trójca budynków, w jedną całość złączonych. Każdy budynek posiada trzy lub cztery piętra oraz obszerne, oszklone poddasze. Komunikację pomiędzy budynkami stanowiły niegdyś korytarzyki wąskie, półciemne i tak zrecznie w ścianie sieni ukryte, że nieświadomy nawet się istnienia ich nie domyślał.

Dom czolowy o czterech piętrach służył za mieszkanie gospodarzowi i jego rodzinie. Komnaty są tu po pańsku obszerne i widne. Ale napróżno szukalibyśmy ich najpiękniejszej z późniejszych czasów ozdoby: malowanych przez Bacciarellego plafonów. Zachowały się tylko piękne poręcze schodów, z kutego, misternie wyginanego żelaza.

W sieni stoi jeszcze ława kamienna dla służby, a nad drzwiami zamurowanemi widać tablicę z zatartym do szczytu napisem.

Część druga, znacznie skromniejsza, stanowiła pomieszczenie służby. Od budynku czolowego oddziela ją maleńkie, typowo staromiejskie, podwórko, do studni podobne.

Część ostatnia obrócona była na składy. Okna są tu po większej części kratami żelaznemi opatrzone.

„Rewizya gospód“ utwierdza nas w przekonaniu, że ta posesya miała ongi charakter dworu w pełnem znaczeniu tego słowa. Nie brakło w niej nawet



tego, co w domach staromiejskich stanowi największą osobliwość, mianowicie: stajen. Rewizya wymienia „stajenkę na tyle“ oraz „stajnię wielką“.

Po Gizach, właścicielami domu stali się Andrychiewiczowie.

Rodzina ta dopiero w drugiej połowie XVIII w. na widownię występuje. W 1781 roku Ignacy Andrychiewicz v. Andrychowicz jest ławnikiem Starej Warszawy i asesorem urzędu ekonomicznego; w trzy lata później spotykamy go wymienionego pomiędzy rajcami.

Andrychiewiczowie kamienicę, nadrujnowaną już nieco, odnowili i upiększyli, pozostawiając pamięć tego w tablicy, o której wspomniałem na wstępie.

Taryta z 1784 r. wymienia jako właścicielkę domu „urodzoną“ Antoszewską. Potem przechodzi on kolejno do Majewskich, Vogłów i Gołembiewskich. W ręku ostatniej rodziny dotąd (od lat stu) pozostaje.

Znajdujący się na czole tego domu wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej za szkłem nie jest zabytkiem dawnym. Umieszczono go dopiero w roku 1853.

Obecny właściciel domu objaśnił mnie, że ze starych pamiątek nieruchomość jego posiada jeszcze: drzwi dębowe rzeźbione w stylu „kościelnym“ (gotyckim, ostrołukowym), także okiennice i boazerje oraz belki modrzewiowe snycerskiej roboty, napuszczone farbami. Te ostatnie są w części zabielone wapnem, w części deskami oszalowane. *Należy je koniecznie odsłonić i oczyścić.*

Jeden z mieszkańców domu niegdyś „Gizowskiego” uczynił się sławnym, a przynajmniej popularnym. Był nim Patz, dyrektor policyi za rządów pruskich.

Musiał to być człek energiczny i zwolennik doraźnego wymierzania sprawiedliwości. Dowcip uliczny zamknął charakterystykę jego w dwuwierszu, który się dotąd w pamięci ludu warszawskiego przechował:

Chodźmy do pana Paca,  
— Co bije kijem i obraca.

Skończywszy z faktami, wspomnieć musimy o—bajkach.

Podanie ustne, dowodami nie poparte, czyni dom opisywany miejscem zamieszkania Urszuli Mejerin, głośnej ochmistrzyni synów Zygmunta III-go. „Panna Urszula” miała tu mieszkać zaraz po przybyciu do Polski, przyczem skryte, podziemne przejście łączyło jej dom z Zamkiem królewskim...

Twórcy tej romantycznej fantazyi nie biorą pod uwagę faktu, że towarzyszka królowej, a następnie dozoreczyni jej dzieci, nie mogła przemieszkować gdzieindziej, jak tylko—przy królowej i przy jej dzieciach. Nie zastanawiają się też nad tem, że nikt nie potrzebuje dostawać się drogą skrytą tam, gdzie ma w każdej chwili, jak mówią Francuzi, *ses grandes et petites entrées*.

Postanowiłem wykryć źródło, z którego bajka powstała, i zdaje mi się, że dopiął celu.

Przedewszystkiem, istnieją wskazówki (jeśli

się nie mylę w Pamiętnikach ks. Albrychta Radziwilla) że panna Urszula pokumała się z mieszczanstwem warszawskim i w Rynku, czy też w którejś z przyległych ulic, nabyła na własność kamieniczkę. Rozumie się, że tą kamieniczką nie była i być nie mogła wielka posesya Walbachowska, zajmująca miejsce tak wydatne w kronice Starej Warszawy.

Następnie jeden z domów na tej właśnie południowej stronie Rynku, zwał się „Majeranowski” (od Majerana, burmistrza St. Warszawy)—co brzmiało tak samo prawie, jak „Majerinowski”.

Wreszcie w kamienicy Walbachowskiej istniały rzeczywiście przejścia, któremi można się było dostać — nie skrycie jednak i nie pod ziemią — najpierw do kościołów: Jezuickiego i Św. Jana, a następnie do Zamku.

Wiadomo, jaka tajemniczość okrywała (i dotąd okrywa) osobę wpływowej Niemki, przyjaciółki i opiekunki Jezuitów. Nawet nazwisko jej podawane jest w wątpliwość <sup>1)</sup>. Ruchliwa fantazyja ludu warszawskiego, tajemniczością podniecona, wysilała się, aby „pannę Urszulę” uczynić bohaterką jakiejś, w stylu staromiejskim, legendy. W tym celu, trzy odosobnione fakta, które przytoczyłem, złączone zostały w jedno, i po odpowiednim przekształceniu zmieniły się w efektowną — bajkę.

---

<sup>1)</sup> Sobieszczański twierdzi, że Meierinn albo Majerian nie jest nazwisko, lecz znaczy poprostu: ochmistrzyni. W starzej niemieźyźnie wyraz ten jednoznaczny był z Meisterinn (*Hofmeisterinn*).



## II-r 3 i 5 (36 i 37).

Te dwa numery łączę w jeden, posiadają bowiem bardzo mało treści historycznej i pamiątkowej.

Jako właściciel domu Nr. 3, wymieniony jest w lustracyi 1655 r. Jerzy Jucht v. Juch, „cyrulik J. K. Mości”. Dom ten był libertowany, co zapisano znów w lustracyi z 1660 r.

Zdaje się, że tylko przez czas krótki znajdowała się ta kamienica w posiadaniu Juchta, bo już w 1669 r. właścicielem jej jest Marcin Ginter, akty zaś owoczesne piszą o niej: *ante* Kosińskiego.

W dziejach Starej Warszawy nazwisko Ginterów często się spotyka. Była to rodzina kupiecka, można i zasłużona. Napiszę o niej obszerniej w kronice domu zwanego „pod Murzynkiem”, który przez długie lata był własnością Ginterów, a prawdopodobnie przez nich też został wybudowany.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia kamienica Nr. 3 należała kolejno do Flackiewiczów i Izdebskich.

O domu Nr. 5 mniej jeszcze jest do powiedzenia.

W wieku XVII był własnością najnajpierw Jeleniów, następnie Kotyńskich. Ani pierwsi, ani drudzy nie zajęli w dziejach miasta miejsca wydatnego. Pomiedzy członkami magistratury nazwisk tych napróžno szukałem.

Breza, Kwiatkowski, Choromański, Sarnowicz—oto nazwiska późniejszych właścicieli tego domu.

*Na jego czole, ponad środkowem oknem pier-*

wszego piętra znajduje się w płaskorzeźbie medalionowej portret mężczyzny.

### Pr. 7 (38).

Ta kamienica nazywała się niegdyś „złocistą”. Dlaczego? Bo czoło jej było wyzłacane. W bardzo dawnych opisach Warszawy, zwłaszcza w relacjach cudzoziemców, znajdują się wzmianki o polichromicznym przyozdabianiu domów staromiejskich. A w polichromii i dla złota jest miejsce.

Stwierdza to zresztą i późniejszy Jarzembski:

Bardzo kamienice śliczne  
W Rynku; także i uliczne.  
Błyszcą się od złota prawie;  
Niemasz takich w Czersku, w Rawie.  
Na nich dziwne rysowanie,  
Farbami ukształtowanie.

Wogóle, z dzisiejszej powierzchowności domów staromiejskich nie można powziąć pojęcia o tem, jak wyglądały przed dwoma, trzema wiekami. Dziś to tylko zeschłe, poczerniałe łupiny, otłuczone i wypłowiałe konchy—w których nie ma ani owocu, ani mięczaka. Niegdyś miały własne, osobiste życie, miały duszę, która im pewien wyraz indywidualny nadawała; dziś, jak owe konchy i łupiny, poniewierają się wśród wielkomięjskich odpadków, służąc to tym, to owym, za przygodne schronisko...

O pierwszych właścicielach kamienicy mówią wyraźnie: herb i cyfra wykowane misternie z żelazem i nad wejściem umieszczone. Herb, wyobrażają-



cy krzyż podwójny z dwiema podpórkami, jest herbem „Baryczka”; cyfra *S. B.* oznacza Stanisława Baryczkę.

Nazwa kamienicy musiała pozostawać w związku i z herbem, ten ostatni bowiem, w opisanu heraldycznym, ma barwę złotą. „Widzieć takich herbów siła w Warszawie, w kościele Ś. Jana”—mówi Niesiecki. Odnosi się to do czasów, poprzedzających ostatnią przeróbkę kościoła.

Baryczkowie, także i ci  
W konsyliach znamienici—

rymuje wspomniany przed chwilą wierszopis. Pochwała to zbyt skromna. Najpierw, nie można Baryczków kłaść na drugim miejscu, skoro zawsze zajmowali pierwsze; następnie „konsylia” nie były nigdy wyłącznym polem popisu dla tych, co różnorodnymi, a prawie bez wyjątku samodzielnie, odznaczyli się zasługami.

Ród Baryczków wywodzi się z Węgier.

Wojciech Tymowski, uczony jezuita, żyjący w XVII w., pisze, że pierwszym z Baryczków, co kraj rodzinny opuścił i przybył najpierw na Ruś, a potem do Polski, był Iwo, czyli Jan. Stało się to jeszcze na początku XIII w. mianowicie w 1207 roku.

Powód, dla którego Iwo Baryczka został wychodzącą, był ten, że „urodzonym na wolności, nie chciało się jęczeć pod jarzmem bisurmańskim”.

Dziedzic głośnego i poważnego imienia, dzięsiały z rodu, pozostawił w rękę pogan rozległe ma-

jątki i przeniósł się na Ruś, przekładając wolność nad bogactwa. Na Rusi poślubił równą sobie urodzeniem Jadwigę Rózyceównę, ale mimo to na stałe w tym kraju nie osiadł.

Gdy Ruś zawrzała wojną domową, Iwo z młodą małżonką zapragnęli zaciszniejszego dla siebie gniazda, i udali się na Mazowsze. Panował w nim wówczas książę Konrad, któremu Baryczka dziwnie przypadł do serca. Młody wychodźca węgierski, przypuszczony do przyjaźni panującego, zajął na dworze miejsce wydatne i osypany został zaszczytami. Gdy nadto otrzymał w darze od księcia dwie wioski, związało go to ostatecznie z ziemią, której już ani on, ani najdalsi jego potomkowie, nigdy opuszczać nie mieli.

Opowieść księdza Tymowskiego opatruje Niesiecki uwagą krytyczną. Twierdzi, że Iwo Baryczka nie mógł uchodzić z ojczyzny przed Turkami, gdyż ci dopiero w całe stulecie później do Węgier zawitali. „Raczejby tedy (słowa Niesieckiego) miał mówić, że z Kolomanem, królem Halickim na Ruś Iwo przyszedł.“

Cokolwiekby, protoplastą polskiego, a ściślej mówiąc: mazowieckiego domu Baryczków, był ów Iwo czyli Jan.

Przypatrzmy się teraz dalszym dziejom tego rodu, ściśle związanym z dziejami Mazowsza i jego stolicy.

Iwo miał trzech synów: Bartłomieja, Henryka i Jana. Ci antenaci późniejszych mieszczan odznaczyli się duchem rycerskim, mieszczkańskiemu krajowi przeciwnym. Bartłomiej bronił Mazowsza

Litwinów i w jednej utarczce z nimi poległ. Henryk walczył szczęśliwie z Henrykiem Brodatym i jak się zdaje w stanie bezzennym życia dokonał. Jan spłacił również dług obowiązkom publicznym, pomyślał jednak następnie o obowiązkach rodu i pojął żonę z rodu Grzymalów.

Po Janie Baryczce pozostało trzech synów: Marcin, Jerzy i Henryk.

Z tej trójcy najgłośniejszym stał się Marcin, doktor S. Teologii, wikaryusz i kaznodzieja katedry krakowskiej. Osobistość to historyczna—w której rodowodzie Tymowski widocznie błąd popełnił. Marcin Baryczka nie mógł być wnukiem Iwona, gdyż dzielił go odeń półtorawieczny okres czasu. Z ledwością uważać-by go można za jego prawnuka...

Ten Marcin Baryczka padł ofiarą starcia się władzy świeckiej z duchowną za Kazimierza Wielkiego.

Ksiądz Tymowski widzi w królu tylko rozpustnika, oraz wylamującego się z pod władzy Kościoła odstępcę, a w Baryczce—tylko pokornego sługę kościelnego. Historia nieco inaczej obu ich charakteryzuje.

Król Kazimierz nazwany został Wielkim głównie dla wielkich zasług, na polu wewnętrznego urzędowania kraju położonych. Dążył on do zaprowadzenia równowagi pomiędzy klasami społecznymi, do równomiernego rozłożenia przywilejów i ciężarów. Duchowieństwo ówczesne, które zapewniwszy sobie przywileje największe, dążyło jeszcze do wy-



lamania się od wszelkich zgoła ciężarów, tym zamiarom monarchycznym w poprzek stawalo.

Stąd gniewy obustronne i stąd gwałtowne starcie, które doprowadziło aż do zbrodni. Ofiarą padł ksiądz Baryczka, którego utopiono w przereblu. Stało się to 8 stycznia 1349 roku.

Bezpośrednią przyczyną katastrofy była klątwa, rzucona na króla przez biskupa krakowskiego, Bodzantę; bezpośrednim powodem klątwy—upominanie się u tegoż Bodzanty o należne skarbowi koronnemu podatki. Powód jednak właściwy zamaskowano czem innym, mianowicie: niemoralnem życiem Kazimierza. Z klątwą poszedł na zamek Marcin Baryczka i śmiałość swą życiem przypłacił.

Okrutna śmierć młodego księdza, który, mimo zaciekłości stronnicej, był człowiekiem czystym i w dobrej wierze działającym, rzuciłaby plamę na charakter króla,—gdyby go historia w obronę nie brała. Okazano, że utopienie Baryczki nie od Kazimierza wyszło, lecz od gwałtowników świeckich, z duchowieństwem wojujących.

Kraszewski, który w każdym sądzie swym o ludziach i faktach, starał się być beznamietnym i sprawiedliwym, tak w krótkich słowach tę rzecz przedstawia:

„Zajście z Bodzantą, biskupem krakowskim, o dziesięćiny doprowadziło aż do tego, że na króla klątwę rzucono. Słudzy i dworactwo Kazimierza najczynniejszego w tej sprawie, ks. Marcina Baryczkę, mszcząc się za pana, utopili. Zrzucono winę morderstwa na króla, aby go zożydzić, bo do *wiedzioną* mu być nie mogła.“

Cokolwiekbądź, dom Baryczków w rzędzie innych luminarzów pozyskał męczennika. Starano się nawet tego, zbyt żarliwego, sługę Kościoła otoczyć urokiem cudów i świętości. Stworzona została legenda o „głosach anielskich,“ odzywających się w miejscu jego męczeństwa, o „światłości niezwyyczajnej,“ która płonęła tam dopóty, aż lód roztopniał. Ciało kaznodziei miało w górę Wisły, przeciw wodzie, płynąć „bez najmniejszego uszkodzenia, jakby świeżo do wody wrzucone,“ przyczem „woność jakąś wdzięczną z siebie wydawało.”

Ks. Marcin Baryczka pochowany został w Krakowie, w kościele Ś. Katarzyny u OO. Augustyanów, w kaplicy brackiej św. Mikołaja z Tolentynu.

W warszawskim kościele Panny Maryi, na Nowem Mieście, znajduje się nad stallami w prezbiterjum jego portret, zapewne staraniem rodziny umieszczony. Portret przedstawia księdza Baryczkę stojącego przed Kazimierzem Wielkim. Poniżej następujący napis:

*Martinus Bariczka Varsaviensis Doctor Vicarius Concionator Cathedralis Cracoviensis vitae integritate mundi conteptu, DEO ZELO celebris quod in Casimiro II Rege Poloniae audacter vitia palam argueret eundemque jussu S. Sedis excommunicaret in Vištula sub glacie A. 1349. 8 Januarii submersus obiit, vitam ejus et mortem sanctam Angelicus diu usuque ad obitum glaciem audius prodidit conceptus.*

Drugi z synów Jana Baryczki, Jerzy, nie odznaczył się niczem takim, coby aż do naszej pamięci doszło. Żonaty był z Barbarą z Wyszkwicie

i umarł w Czersku, gdzie mu żona nagrobek wystawiła.

Jerzy Baryczka zeszedł ze świata bezpotomnie, a dziedziców imienia i zasług pozostawił najmłodszy z braci, Henryk. Ten ostatni, poślubiwszy Barbarę z Domniewa, herbu Dołęga, miał z nią dwóch synów: Wacława i Wojciecha.

Każde prawie pokolenie Baryczków dostarczało sługę Kościołowi, i z tych zatem dwóch braci jeden poświęcił się służbie Bożej. Był nim Wacław, późniejszy kanonik wrocławski.

Wojciech Baryczka wiódł żywot świecki i rycerski. Już jako człowiek żonaty i ojciec kilkorga dzieci, udał się z królem Władysławem na nieszczęśliwą wyprawę pod Warnę, gdzie „życie na placu położył.“

I po Wojciechu dwóch pozostało synów: Szymon i Piotr.

Wierni tradycyi, poszli oni w życie odmiennymi drogami, aby—jak to zwykle u Baryczków bywało—splacić w równej mierze dług ojezyźnie i rodowi.

Śmierć ojca nie zniechęciła starszego z synów do wojennego rzemiosła. Szymon Baryczka mężnie wojował i w Polsce i w Czechach, mówi też o nim Niesiecki, że „zdał się być do wojny urodzonym.“

Młodszy z braci, Piotr, poświęcił się życiu dworskiemu i mieszczańskiemu. Przebywając przez czas długi na dworze Konrada III (Niesiecki błędnie pisze „wtórego,“ dzielą bowiem tych książąt *dwa całe stulecia*), księcia Mazowieckiego, osiadł



następnie w Warszawie, której już potomkowie jego nie opuszczali.

Piotra uważać można za właściwego protoplastę i głowę rodu Baryczków-mieszczan, którzy przez kilka wieków stanowili *lumen* Starej Warszawy.

Synów tego Piotra było trzech: Piotr *junior*, Jerzy i Jan.

Piotr, posłuszny tradycyi, poszedł w służbę Kościoła i został kanonikiem warszawskim.

Jan bawił przez czas niejaki na dworze Ludwika, króla węgierskiego, poczem wrócił do ojczyzny i w Warszawie zamieszkał.

Jerzy uprawiał w równej mierze naukę i pobożność, starając się na wszelki sposób być użyteczny miastu rodzinnemu. „W różnych cudzoziemskich językach przeciwiczny,“ odbywał częste podróże, nigdy w nich jednak Warszawy z serca i pamięci nie wypuszczając. Jemu to zawdzięcza katedra warszawska „cudownego“ Pana Jezusa, rzezanego z drzewa i umieszczonego w oddzielnej kaplicy, na lewo od wielkiego ołtarza. Rzeźbę tę przywiózł Jerzy Baryczka z Norymbergi, gdzie przez heretyków, wraz z innemi świętościami była na stos rzucona do spalenia.

Książd Tymowski, zaraz po tych trzech braciach, umieszcza Stanisława, „syna Bartłomieja,“ co do genealogii Baryczków wprowadza pewne zamieszanie.—Któryż to Bartłomiej?—pyta czytelnik—i skąd się wziął w tem miejscu?..

Niesiecki, przypuszczając, że tu mowa o Bartłomieju, synu Iwona, zauważa ironicznie, że autor „od roku 1280 prędko poskoczył do roku 1500!”

Wątpliwość tę wyjaśnia najzupełniej tablica marmurowa, na innym, niegdyś Baryczkowskim domu, umieszczona. O tym domu i o tej tablicy będzie mowa później, przy opisie południowego boku Rynku. Tymczasem wyjmujemy z owej tablicy wiadomość, że Bartłomiej Baryczka, o którego tu idzie, był synem Jerzego, burmistrza Starej Warszawy i Jadwigi Baltolorówny, a wnukiem Piotra i Anny. Nie przerywa się przeto w tem miejscu bynajmniej łańcuch genealogiczny.

Otóż ten Bartłomiej, ożeniony z Krystyną Fulkierówną, miał syna Stanisława, w którym odżył rycerski duch przodków. Walczył on w kraju i na obczyźnie, a wszędzie — jak mówi jego biograf — „odważnego serca dawał dowody.“

Ten to Stanisław Baryczka wznosił dom, który opisujemy i na którym cyfra jego widnieje. Był nie lada potentatem, choć, jak się zdaje, skończywszy rycerski okres swego życia i osiadłszy w Warszawie, zajmował się głównie, jeśli nie jedynie, robieniem fortuny. Dzierżawił wieś Kamień pod Warszawą, był administratorem Żup solnych w Mazowszu, skupował place, domy — ba, jurydyki całe. Od niego jedna z ulic Starej Warszawy otrzymała nazwę „Baryczkowskiej“ (poprzednio, t. j. do roku 1619, zwała się „Żydowską“ albo „Abrahamowską“).

Kilkakrotnie był obierany przez współmieszczan starszym ławnikiem; Weinert zaś twierdzi, że „prawością swą dla dobra miasta, jako jeden z najgorliwszych urzędników słynął i w całym Mazowszu odznaczał się powagą“. Jednak i własnego dobra



z oka nie spuszczał, umiejąc w potrzebie energicznie się o nie upominać. Około roku 1600 miał jakiś zatarg z magistratem Starej Warszawy o bezprawne wycinanie drzew na Kawczej (dziś Saskiej) Kępie. Z tą pewnością, jaką dają w równym stopniu: czyste sumienie i bogactwo, wystąpił wówczas z obroną, w której nazywa siebie „człowiekiem da Pan Bóg nietylko z wieku swego, ale i z przodków swych spokojnym i w „niczem nienagannym“. Nawiasem dodaję, że w tej obronie godne jest uwagi jedno wyrażenie znamienne; brzmi ono: „Rzeczpospolita Warszawska“.

Stanisław, poślubiwszy Jadwigę Kulską (Książd Tymowski nazywa ją Kulińską, herbu Odrowąż), miał z nią trzech synów: Wojciecha v. Alberta, Stanisława i Jacka. Wszyscy trzej trwałą pamięć po sobie zostawili.

Jacek Baryczka, doktor Ś. Teologii, mąż pobożny i światły, był jednym z założycieli i głównych dobrodziejów klasztoru Dominikanów przy ulicy Freta. W uznaniu zasług, obierano go czterokrotnie przeorem tego zakonu.

Książd Tymowski pisze o nim: „Theologia i Philozophia dla swoich w Warszawie fundował“. Znaczy to, że staraniem i kosztem uczciwego przeora powstał przy klasztorze Dominikanów, rodzaj Akademii duchownej, czyli tak zwane *Studium formale*, któremu na cześć fundatora dano przydomek *Baricianum*. Trzy katedry profesorskie opłacane w niem były ze szkatuły Baryczki.

Prócz tego, ojciec Jacek, energicznie zajmował się budową kościoła i klasztoru, na co słu-

niemalo pieniędzy jego i całej rodziny Baryczków. Jedną obszerną izbę w klasztorze przeznaczył na bibliotekę, obdarzywszy ją na początek własnym bogatym zbiorem ksiąg i rękopisów. Doprowadziwszy do końca ukochane swe dzieło, to jest ukończywszy budowę kościoła (1638 roku) i klasztoru (1649 r.), umarł spokojnie w r. 1650, podniesiony do godności „wikarego generalnego“ wszystkich klasztorów Dominikańskich w Koronie.

Brat Jacka, Stanisław, słynął z nauki, a zwłaszcza z biegłości w językach i talentu krasomówczego. Był to człowiek do tańca i do różańca—co zresztą w rodzie Baryczków nie należało do rzadkości. Na dworze papieskim błyszczał zaletami duchowemi; pod buławą Żółkiewskiego, zdumiewał żołnierską bitnością. Wiele dobrodziejstw świadczył kościołom i klasztorom. W Warszawie, kościoły: św. Jana, św. Krzyża i św. Józefa, oraz klasztory OO. Dominikanów i PP. Karmelitanek dużo mu zawdzięczały.

Ma on w katedrze kamień nagrobny z portretem, przez bratanka fundowany, na którym cnoty jego i zasługi szeroko są opisywane. Dowiadujemy się z tego źródła (co w części przytacza i Niesiecki), że był sekretarzem królewskim Zygmunta III i Władysława IV-go, a doradcą zaufanym cesarza Ferdynanda II-go, że cieszył się uznaniem i życzliwością papieża Klemensa VIII-go, że podróżował wiele po Niemczech, Włoszech i Hiszpanii, że pod Żółkiewskim Marsowi dzielnie służył, że więcej niż 30,000 florenów na wsparcia i zapisy pobożne wydał i t. d.

Umarł w r. 1651.

Ostatni z braci, Wojciech, starosta ujazdowski, w kronikach rycerskich imię swe zapisał. Pod Strygoniem walczył z Turkami i tam też, jak mówi Niesiecki, „na hareu tureckiego olbrzyma i wzrostem i siłą strasznego zabił“. W nagrodę męstwa, cesarz Rudolf II nobilitował go na szlachcica niemieckiego (w r. 1590). Powróciwszy do ojezyny, był pod Smoleńskiem i pod Kircholmem. Za wyświadczone krajowi zasługi, został sekretarzem królewskim i koniuszym nadwornym.

O tym Baryczce piszą biografowie, że nosił niezagojoną do śmierci ranę, którą był w jednej z wypraw wojennych otrzymał.

Zmarł w roku 1649-ym, licząc lat 66. U św. Jana, w kaplicy Pana Jezusa, na prawo od wejścia ma pomnik, przez synów wystawiony.

Rzecz dziwna, że mimo tylu czynów znamienitych, dopiero w roku 1658 przyznano indygenat rodzinie Baryczków, w osobach: Stanisława (bratanka Stanisława, wyżej wymienionego), oraz jego braci: Wojciecha i Jana. Ten Stanisław był znamenitym strategikiem, budowniczym machin wojennych, zakładaczem min i t. p. Popisywał się z umiejętnością swą pod Beresteczkiem i Żwańcem, przy czynił się też w znacznym stopniu do odebrania Szwedom Torunia, Krakowa i Warszawy. Był sekretarzem Jana Kazimierza i zajmował urząd „owiesnego“, to jest urzędnika do wydawania obroków na dworze królewskim. Na tablicy marmurowej, którą pamięć stryja uczcił, nazwany jest *generosus Stanislaus in Molocice Baryczka*. Jak wszyscy nie-



mal Baryczkowie, i on hojnie wspomagał klasztor. Między innymi, Dominikanie warszawscy otrzymali od niego w darze zasobną bibliotekę. U Dominikanów też ma kamień nagrobny.

Bracia tego Stanisława wczesną śmiercią pomarli. Jan, jako kanonik plocki i pułtuski oraz proboszcz koleński, Wojciech jako młodzieniec niedojrzały jeszcze, a rokujący piękną przyszłość w naukach.

Stanisław Baryczka, który zmarł bezpotomnie (w r. 1682), a podobno weale w związku małżeńskie nie wstępował, był właściwie ostatnim z rodu.

Tylkowski wymienia dwóch jeszcze Baryczków: Michała i Jędrzeja. Michał był kapitanem; on też wydał w r. 1658 książkę p. t.: „*Quantum Poeticum accurata, auctoritate Poetarum recognitum*”. Jędrzej był Łowczym Sochaczewskim i podpisał elekcyę Augusta II.

Na schyłku XVII-go w. Baryczkowie znikają z powierzchni naszej ziemi bez śladu. Liczne ich domy i grunta przechodzą w cudze ręce, kolegium ich oraz ulica, jako rzecz i jako nazwa, istnieć przestają; nawet pamięć nazwiska, które niedawno jeszcze na każdej karcie kroniki warszawskiej występowało, zacierą się.

Rodzina, przez pięć wieków blisko świecąca blaskiem nieprzyćmionym, gaśnie w jednej chwili, jak lampa zdmuchnięta.

I tylko jako pamiątka po Baryczkach, na czołach starych kamienie i na ścianach starych świątyń błyszczy „siła ich herbów”—mimo których *Warszawianin* dzisiaj obojętnie przechodzi, nie rozu-

miejąc znaczenia tych krzyżujących się linii, ani się też na zrozumienie ich nie siląc...

Dalsze dzieje kamienicy, niegdyś „złocistej“, a dziś spłowiałej i szarej, nie przedstawiają nic ciekawego. Jakiś „sławetny“ Ekendorf posiada ją około r. 1780-go i później; następnie przez czas długi, prawie aż do dni naszych, pozostaje ona w ręku rodziny Kuśmierskich.

### Nr. 9 (39).

Jest to jeden z tych kilku starych domów, w których dochowały się jeszcze dawne „sklepy“, to jest piwnice, o kilka łokci niżej poziomu ulicy położone, z wejściami od czola. „Sklep“ znajdujący się w tym domu zajmuje obecnie przekupień pieczywa. Niezwykłość tego sklepu stanowi to, że właściwie sprzedaż chleba i bułek odbywa się na straganie ustawionym na ulicy, tuż przy domu; skład zaś pieczywa mieści się w piwnicy. Sprzedaż, dokonywana w budce płóciennej, wieczorami w oświetleniu kolorowej latarki, tworzy bardzo wdzięczny obrazek rodzajowy. Dziwię się, że uszedł on dotąd uwagi artystów ze szkoły Piwarskiego i Kostrzewskiego.

Sama kamienica mało ma wspomnień ciekawszych. Nazywano ją niegdyś od imienia właścicieli „Długoszową“. Odkąd i dokąd przysługiwała jej ta nazwa, określić trudno. Wszakże już w r. 1669 piszą o niej: „*ad praesens* Gizego“.

Czy warszawscy Długosze byli pokrewni owym herbu Wieniawa, z których wyszedł Jan, historyk—

nie mogłem wyśledzić. W r. 1580 Stanisław, a w trzydzieści lat później Paweł (zapewne syn tamtego), są starszymi ławnikami (*archiscabini*) M. S. Warszawy.

Przy końcu zeszłego wieku kamienica przechodzi na własność sławetnych Kostki i Flaczkiewicza. Później jest własnością sukcesorów tego ostatniego. Około r. 1858 posiada ją Dąbkowski.

### Nr. 11 (40).

Czoło tej kamienicy, mimo wielu późniejszych przeróbek, piękne jest i ciekawe. Zwracają zwłaszcza uwagę znamienne głowy (gigantów?) nad oknem drugiego piętra.

Ładna ślusarszczyzna zdobi otwór nad głównym wejściem. W samym środku ornamentów widzi się misternie związane litery *J. R.*

Jadalnia, która zajęła dół kamienicy, jest zupełnie nowoczesna. Za to ocalał w dawnym kształcie sklep czyli loszek niewielki, w którym mieści się kram spożywczy. Wejście do loszku osłania piękny, stary daszek. Dla tych, co w dół schodzić nie chcą lub nie mogą, ustawiono stragan.

I ta kamienica miała w dawnych wiekach swe miano odrębne. Zwała się „Majeranowska“. Wystawił ją przy końcu XVI-go w. Mikołaj Majeran *vel* Marian, aptekarz królewski (*pharmacopola*), który musiał dla miasta zasługi jakieś położyć, gdyż obrano go burmistrzem Starej Warszawy. Na stanowisku tem widzimy go jeszcze w r. 1607.

W drugiej połowie XVII go w. dom ten należał w równych częściach do Gizów i do Gutakow-



skiego. Podług „Regestru Gospód“ z r. 1669, posiadał on: izb 7, *kownatę* (tak) z sionką i kuchenką, sklepów 2, piwnic 2, kuchni 4. W czasie sejmu, stawał w nim gospodą biskup Chełmiński.

W liczbie późniejszych właścicieli domu spotykamy Ekersdorfa i Kopkego.

### Nr. 13 (8).

Tej kamienicy, której ściany narożne zdobi podwójne wyobrażenie lwa z tarczą, półtrzecia wieku temu zdarzył się brzydki *casus*. Obalila się. Ani właściwego powodu, ani dokładnej daty tego osobliwego zdarzenia nie znamy; katastrofa wszakże musiała nastąpić w samym środku XVII-go wieku.

Odbyta w r. 1636 rewizya domów staromiejskich, znalazła w kamienicy tej kilka izb „grozących zawaleniem“; w rewizyi zaś z roku 1669 zapisano o niej: „teraz restaurować zaczęto“.

Miała niedys dwie nazwy: „Budzyńska“ i „Plerowa“. W połowie XVII-go w. była własnością „Claudego“ czyli Klaudiusza Henrieta, rajcy warszawskiego. Znajdowało się w niej wówczas: izb 4, „kownat“ 3, sklepów 2, piwnic 2, na tyle izdebek 2. Stawał tu kasztelan krakowski.

W ostatnich latach zeszłego stulecia, właścicielem tej kamienicy był doktor Czempiński, dziadek Klementyny Hoffmanowej. O tym doktorze, zajmującym miejsce wydatne wśród mieszczaństwa warszawskiego przedostatniej doby, powiemy obszerniej przy opisie kamienicy „pod Fortuną“, która również do niego należała.

Zmieniając często właścicieli, dom, o którym mówimy, znajdował się kolejno w ręku Karasiów, Piaskowskich, Ilnickich i t. d.

Wracając do katastrofy, na wstępie wymienionej, zapisać musimy, że dziwnym tratem, w połowie bieżącego wieku, takimuz samemu wypadkowi uległa kamienica, w bliskim sąsiedztwie, bo po przeciwniej stronie ulicy położona. Czy nie możnaby dopatrywać się w tem jakichś szczególnych właściwości gruntu? Tą drugą kamienicą, (dziś już nie istniejącą) była posesya niegdyś Lelewelów, następnie Wagnerowej, na rogu Świętojańskiej i Zapiecka. Posesya ta, oznaczona numerem hipotecznym 9, runęła w r. 1831. Plac pozostały po niej, a sprzedany miastu posłużył do rozszerzenia Zapiecka.

## B. Bok zachodni.

(Pomiędzy Zapieckiem a Dunajem).

### № 15 (119).

Ta wielka, narożna kamienica należy właściwie do Zapiecka. Tam też zapisywana jest w taryfach, choć dawne lustracye umieszczały ją w Rynku.

Nazywano tę kamienicę jeszcze w początkach tego wieku „Grottowską” od jednego z właścicieli: Grotthoffa. Daje ona dokładne pojęcie o wielkości domów staromiejskich. Bok jej ciągnie się przez całą długość Zapiecka, aż do ulicy Pivnej. Wszystkie tu domy mają taki rozmiar. Czola ich są wyniosłe, lecz wązkie; na długość za to zdumiewają ogromem.

*Więcej o tej kamienicy zamierzamy podać przy opisie Zapiecka.*



## № 17 (41).

Ladny fryz poniżej okien pierwszego piętra wyróżnia ten dom od innych. Wyobrażona jest na nim w płaskorzeźbie scena mitologiczna. Nagie dzieci, może amorki, podskakując i przygrywając, biegną przed kozłem, na którym siedzi malec z przepaską na oczach. Scena to z Saturnalii lub Bachanalii.

„Markiewiczowska“ zwała się ongi ta posesya. Później posiadał ją Falkiewicz, rajca i szafarz miejski—ten sam, który w r. 1642 wystawił kamienicę na rogu Rynku i Krzywego Koła, ozdobioną jego herbem i cyfrą.

Stawał tu ongi gospodą wojewoda wileński, gdyż w porze sejmów cała ta strona Rynku była dla „Litwy“ przeznaczona. Panowie koronni mieszkali *ex officio* po trzech innych stronach.

W końcu zeszłego stulecia posiadał tę kamienicę Godswiller, którego nazwisko piszą także Gudźweller.

Dopóki Rynek liczył się do „pryncypalnych“ punktów miasta, mieściła się tu głośna swego czasu cukiernia pod firmą „Jenny“. W pierwszych latach naszego wieku niejaki Ferdynand Ulbrycht miał też w tym domu „fabrykę kadzidel“.

## № 19 (42).

Ten dom w dziejach Warszawy sławny, o charakterze na pół urzędowym—na nieszczęście, nie dochowany w kształcie pierwotnym, był przez długie wieki własnością miasta i nosił specjalne miano

„Kamieniny Wójtowskiej“. Nazwa wskazywała jego przeznaczenie. Był urzędowem siedliskiem wójta i odprawianych przezeń sądów.

Wójt czyli *Advocatus* w urządzeniu dawnych miast zajmował miejsce nietylko ważne, ale najważniejsze. Wszędzie, gdzie rządono się prawem magdeburkiem—a tak właśnie działo się w Warszawie — wójt był głównym zarządcą i naczelnikiem miasta. Mianowany przez króla, wyobrażał poniekąd jego zastępcę. Sam wybierał urzędników, którzy mu w rządzeniu miastem pomagali. W ich liczbie znajdował się przedewszystkiem: podwójci (*vice-advocatus*), następnie radeowie czyli rajcy (*consules*), ławnicy (*scabini*) i przysiężni (*jurati*).

Wójt cieszył się rozlicznemi przywilejami. Przedewszystkiem kamienica, o której mowa, bywała zawsze jego dożywotnią własnością. Nie płacił z niej żadnych podatków i nie miał obowiązku ugaszczania panów sejmujących.

W stosunkach ówczesnych, wśród mieszczan przeważnie niemieckiego pochodzenia, którzy handel na pierwszy plan wysuwali, najwyższy urzędnik miasta i w tej dziedzinie zapewnił sobie szeroką swobodę. Sprowadzany przezeń towar był wolny od cła, co odrazu zapewniało kupczącemu przewagę nad współzawodnikami. I przypuszczamy, że musiały istnieć jakieś, jeśli nie prawa, to zwyczajy, które tę swobodę wójta brały w pewne karby. Inaczej mocen byłby cały handel zmonopolizować w swych rękach.

Od roku 1609, wójt warszawski, narówni z innymi członkami zarządu miejskiego, począł być wy-

bieralny. Ustąpił też pierwszego miejsca najstarszemu z rajców, zwanemu „prokonsulem“ (*proconsul*), a z niemiecka „burgrabią“, „burmistrzem“, wreszcie „prezydentem“.

Wójt, po złożeniu w ręce prokonsula zwierzchniej władzy nad miastem, zajmował się już tylko czynnościami sądowymi. W rocie przysięgi, którą składał na Ratuszu Starej Warszawy, prócz zwykłych formuł, znajdowały się słowa:

„Przysięgam, iż na tym urzędzie wójtowskim sprawiedliwie i wiernie sądy odprawiać będę. Sprawiedliwość tak ubogiemu, jak i bogatemu czynić i, cokolwiek do urzędu mego należeć będzie, życzliwie wykonywać. A od tego nie odstąpię dla darów, przyjaźni, bojaźni, gniewu lub nienawiści“.

Kamienica Wójtowska była jakby oficyną Ratusza Staromiejskiego. Tu przez czas długi odbywały się sądy ławnicze; tu również w okolicznościach wyjątkowo ważnych zbierali się obywatele dla naradzenia się nad jakąś poufniejszą sprawą administracyjną lub sądową.

Zdjęła mię kiedyś ciekawość zwiedzić miejsce tyłoma pamiątkami uświęcone. Chciałem zobaczyć zblizka choć mury, wśród których rozlegał się ongi wymowny głos Strubiczów, Baryczków, Burnbachów, Gizów, Dzianottich i całego patrycyatu Starej Warszawy. Po zburzeniu Ratusza staromiejskiego, to miejsce tylko pozostało widomą pamiątką dawnej magistratury warszawskiej.

Powiedziano mi, że pierwsze piętro zajmuje starozakonny „kupiec“. Poszedłem tam śmiało, a za ledwie ciężkich drzwi uchylił, olśnił mię widok



wielkiej, sklepionej komnaty, o potężnych murach i głębokiej wnęce okiennej. Oświecała tę wspaniałą komnatę maleńka świeczka łojowa, krzywo osadzona w olbrzymim, srebrnym świeczniku, tak wyglądającym, jakby go z ołtarza... pożyczono. Stałem w zadumie i rozrzewnieniu—z których wyrwał mnie głos bardzo dostojnie wyglądającej gospodyni domu. „Męża niema—mówiła—ale jeżeli pan ma dobry fant, to ja mogę tego interesu załatwić”...

*Sic transit gloria... Antiquae Varsoviae.*

O tym tonie zgrzytliwym wspominam, gdyż, niestety, aż nadto często, pod tą lub gorszą jeszcze formą, drapie on nerwy tych, co pamiętki warszawskie z kurzu stuleci dobywają.

W roku 1647, kamienica Wójtowska otrzymała libertacyę „od gościa, tak w sejm jako i bez sejmu, *perpetuo*“. Właściwie było to tylko potwierdzenie dawnych przywilejów. Już w lustracyi z roku 1564, czytamy o wójcie staromiejskim, że „ma przywilej stary od książęcia mazowieckiego Janusza Starszego z wolnościami na dom albo kamienicę w mieście i na włókę roli“. Powiedziano też tam o nim: „Zadnej posługi nie winien, tylko wojnę służy, jako inszy szlachcic“.

Wspomniałem już, że Kamienica Wójtowska nie dochowała się w kształcie pierwotnym. Ta, którą dziś oglądamy, liczy dopiero półtrzecia wieku. Wzniósł ją na gruzach dawnej Balcer (Baltazar) Strubicz, burmistrz Starej Warszawy za Władysława IV-go. *Tamta stała się pastwą ognia. Napoczał ją wielki pożar w roku 1607, a gdy została wyreperowana,*

przyszedł drugi ogień, gwałtowniejszy od tamtego, i w perzynę ją obrócił.

Strubiecze należeli do patrycyatu Starej Warszawy. Pochodzili z Inflant. Jarzembski pisze o nich:

Strubiecowie nie podlejsi,  
W mądrość, w handle odważniejsi.

Jeden z tego rodu, mianowicie Maciej Strubiec, żyjący w XVI wieku, znany jest i w piśmienictwie. Jako uczony geograf, wydał po łacinie opis Inflant i ułożył mapę, zamieszczoną przy jednym z wydań Kromera. Prócz tego, bawiąc przy księciu Albercie Pruskim, przelożył na język polski z rozkazu księcia jego dzieło: „Księgi o rzeczach rycerskich”.

W taryfach warszawskich z końca zeszłego i początku bieżącego wieku ta posesya zapisywana jest jako „kamienica miasta Warszawy”. Dopiero w taryfie z roku 1817 występuje, jako prywatny jej właściciel, Jan Boroński. Około roku 1830 tytuł własności przechodzi na Annę Krenn.

W r. 1825 i później miał tu fabrykę fortepianów Albert Rawski.

### № 21 (43).

O datę wzniesienia tego domu sporu być nie może. Posiada ona swą metrykę marmurową, w jedną ze ścian wmurowaną. Tej erekcyjnej tablicy szukać dziś trzeba w sieni; pierwotnie zdobić musiała czolo domu.

Dowiadujemy się z pamiątkowego marmuru, że kamienica wzniesiona została przez Pawła Zembrza-

skiego, burmistrza i „klucznika“ Starej Warszawy. Napis brzmi w całości jak następuje:

D. O. M.

*Suo, amicorum et posteritatis usui,*

*Patriae ornamento,*

*PAULUS ZEMBRUSKI Klucznik, Proconsul Varsaviensis*

*In avito et dulci solo majorum suorum;*

*proprio labore partis sumtibus*

*Lapideam hanc a fundamentis erexit*

*Anno a Christo Jesu nato MDCVIII.*

Pod napisem wyobrażone jest godło, podobne do herbu Poraj. Stanowią je trzy róże.

Ten Zembrzusi cieszyć się musiał niemalym szacunkiem współobywateli, obierano go bowiem kilkakrotnie burmistrzem. Był oprócz tego zawiadowcą kasy miejskiej. Umarł w roku 1633-im 4-go listopada, mając lat 73.

Ostatniego szczegółu dowiadujemy się z jego nagrobka, znajdującego się w katedrze. Jest on tam wyobrażony w płaskorzeźbie z marmuru białego, umieszczonej na marmurze czarnym. Klęczy przed krzyżem, ze złożonemi do modlitwy rękami.

Zdaje się, że sędziwy „klucznik“ zeszedł do grobu bezpotomnie. Już w kilkanaście lat po jego śmierci, jako właściciel domu występuje Kumarski, pisarz skarbowy, a nieco później Bandynelli.

Zaznaczyć trzeba, że posesya, o której mowa, składała się ongi z dwóch domów, większego i mniejszego, które nawet w starych lustracjach zapisywano pod dwoma oddzielnymi numerami. O domu mniejszym *pisano* przy końcu XVII-go wieku, „*ante Del-*



pinowski, *adpraesens* Szelerta“; o większym: „*ante* Klucznikowski, *ad praesens* Bandynelego”.

Ślad tego rozdwojenia zachował się jeszcze w pierwszej drukowanej taryfie z roku 1784. Wymieniono tam dwukrotnie № 43, pisząc przy pierwszym: „Kamienica Urodzonego Rogalskiego“; przy drugim: „Kamienica tegoż“<sup>1)</sup>.

W liście, pisanym do mnie na krótko przed śmiercią przez ś. p. Teofila Fukiera, znanego kupca i obywatela, a zawierającym nieco notatek kronikarskich, czytamy, że w roku 1810, Bleszyński komisarz skarbowy, nabył ten dom od sukcesorów Szubalskiego i „połączył z sąsiednią kamienicą“. Wówczas to pozorny rozdział został ostatecznie usunięty i wówczas też, jak się zdaje, marmurowa tablica z nad głównego wejścia przeniosła się do sieni.

Po Bleszyńskim kamienicę „Klucznikowską“ posiadał Wien. Od Wiena nabył ją Piotr Jenny, fabrykant czekolady — jeden z trzech, których w owym czasie posiadała Warszawa. Tu miał on fabrykę, cukiernię zaś w domu sąsiednim — może dlatego, że w jego posesyi na długoletnich kon-

1) Ta okoliczność wyjaśnia również fakt, który inaczej byłby dziwnym, że kiedy dawniej na tej stronie Rynku zapisywano domów 10, obecnie jest ich mniej o jeden. I w ogólności liczba domów staromiejskich, z pozoru niewzruszona, uległa w ciągu wieków dość znacznemu zmniejszeniu. Za Zygmunta Augusta Rynek liczył 39 posesyi, obecnie ma ich tylko 35. Ubyły: Ratusz, dwie kamienice włączone do sąsiednich posesyi oraz jedna (na rogu Jezuickiej), darowana przez Witołta Jezuitom i wcielona do ich *Collegium*.

traktach siedzieli: wdowa Bereżyńska, „fryzyerka i perukarka,“ oraz Bulakowski, właściciel handlu win i korzeni.

Ta kamienica ma jedno jeszcze wspomnienie.

Kiedy Hugo Kollataj, jeden z intelektualnych twórców Konstytucyi 3-go maja, po dniach świetności i tryumfów znosić musiał najsroższe urągania losu, tu na pierwszym piętrze, u Bleszyńskiego, który był jego przyjacielem, spędzał ostatnie lata życia.

Wycierpiawszy podwójne więzienie, pozbawiony całego mienia, skolatany a jednak nie upadły na duchu, przybył do Warszawy, aby obmyć się z błota potwarzy i choć część majątku odzyskać. Walecząc o honor i byt, eks-podkanclerzy cierpiał wielki niedostatek, prawie nędzę... — gdy zaś zdawało się, że już uśmiecha się doń zwycięstwo, śmierć go zaskoczyła. Umarł 28-go lutego 1812 r. „Nie wzbudził on szacunku dla siebie — pisze ks. Kurowski — do którego wielkie poświęcenia, nauka i talenty nadawały mu prawo od mieszkańców Warszawy; głosy zelżywe towarzyszyły mu do grobu i mała liczba znajomych...“

### № 23 (44).

O tej kamienicy niewiele mamy do powiedzenia. Nie uświęciło jej żadne wspomnienie historyczne; żaden też z posiadaczy jej nie wstawił się nieczem znamieniem.

Była niegdyś własnością Urbana, „aptekarza królewskiego,“ i ztąd nazywano ją „Urbanowską.“ *Potem posiadał ją Korycki, o którego stanowisku i znaczeniu nie zgoła nie wiemy.*



„Rewizya Gospód” z roku 1669 znalazła w niej: izb sześć, „kownat” trzy, sklepów trzy, piwnie dwie, kuchni trzy. Stawał w niej gospodą Marszałek Nadworny W. Ks. Litewskiego.

W XVIII-ym wieku nabył tę kamienicę „szlachetny” Andrychiewicz. Następnie przez lat blisko sto pozostawała w ręku rodziny Gudheitów.

Okolo roku 1840 mieścila się tu gospoda krawiecka.

### № 25 (45).

Dla wielu nową i dziwną będzie wiadomość, że przodkowie prastarej rodziny Fukierów nie posiadali dawniej domu będącego obecnie jej własnością, lecz dzierżyli kamienicę sąsiednią, którą tu właśnie opisujemy. Dzisiejsza kamienica Fukierowska znajduje się w ręku tej rodziny dopiero od pierwszych lat bieżącego wieku.

Na liście posesyonatów Starej Warszawy powtarzają się często też same nazwiska. Obywatelstwo staromiejskie było jakby jedną wielką rodziną. Członków tej rodziny, prócz związków pokrewieństwa, łączyły silniejsze nieraz od nich ogniwa wspólnych tradycyj, wspólnej doli i niedoli. *Homo novus* bywał tu zawsze rzadkiem zjawiskiem, a zanim go dopuszczono do bratniego koła, składać musiał bardzo szczegółowe i bardzo uciążliwe legitymacje.

Domy przechodziły często z rąk do rąk, ale tranzakcje odbywały się zawsze pomiędzy swoimi. Przypuszczać można, że najczęstszym ich powodem

bywało wyposażanie córek — choć i pieniężne kombinacje grać tu mogły pewną rolę.

Do najruchliwszych pod tym względem należeli Strubicze. Już się z tem nazwiskiem spotykaliśmy; spotkamy się z niem jeszcze kilkakrotnie.

I ten dom, zanim przeszedł na własność Fukierów, był w posiadaniu Strubicza. O Fukierach obszerniej mówić będziemy przy opisie następnej posesyi; tu zaznaczamy, że Fukier, który około roku 1650 był nabywcą domu, zapisywany jest w listach, jako „rajca warszawski“.

O całe stulecie wcześniej posiadał ten dom Franciszek Rola. Wyjmujemy ten szczegół z kroniki domu sąsiedniego (№ 46), przy którego libertacji w r. 1566 zapisano, że stoi „pomiędzy domami sławetnego Franciszka Roli“ *inter domos famati Francisci Rolia*. Ten Rola był rajcą warszawskim. Wiemy też skądinąd o innym Roli, również rajcy. Temu ostatniemu było na imię Marcin; urząd swój sprawował wcześniej, za burmistrzostwa Andrzeja Kazuba.

Kamienica ta podczas sejmu przeznaczana była „na Wielką pieczęć W. Ks. Litewskiego.“ W połowie XVIII wieku znajdowało się w niej: izb dziewięć, sklepów dwa, piwnie dwie, kuchni dwie.

Dalsze losy tego domu nie przedstawiają nic ciekawego. W końcu zeszłego wieku posiada go „sławetna“ Rydlowa, potem jest własnością Magdaleny Baumowej.

#### № 27 (46).

Dwie są tylko w Rynku Staromiejskim kamienice, których kronikę wywodzić możemy *ab urbe*

*condita*: „Wójtowska“ i „pod świętym Markiem.“ Rodowód wszystkich innych—o ile zechcemy oprzeć go nie na legendach, lecz na faktach—nie sięga po za epokę Zygmunta Starego.

I o tym domu, w dawnych aktach nie nazywanym inaczej jak „Korbowska *lapidea*,“ wiemy, że wystawił go Grzegorz (*Gregorius*) Korb w początkach XVI-go wieku. Ten Korb, z zawodu winiarz, przybył do Polski z Wrocławia i przyjąwszy w Warszawie obywatelstwo miejskie, na zawsze tu pozostał. Jako kupiec winny, razem z budową domu zajął się urządzeniem i napełnieniem piwnic, których istnienie można obliczać tym sposobem blisko na cztery wieki.

Kamienica Korba stanęła niezawodnie na miejscu jednego z domów drewnianych, którymi za książąt Mazowieckich Rynek przeważnie był zabudowany. Była ona od początku piękna i ozdobna. Sobieszczański w jednym ze swych szkiców plotnych twierdzi, że dla tej właśnie ozdobności została libertowana. Twierdzenia tego nie można w żaden sposób uznać za słuszne. Piękność i wygodne urządzenie domu czyniły go tem pożądańszym na czasową siedzibę dla jaśnie oświeconych i jaśnie wielmożnych dygnitarzów W. Księstwa Litewskiego.

Libertacya inny miała powód. Były nim zasługi właściciela, położone dla miasta i dla dworu królewskiego, który w owym czasie często gościł w Warszawie.

Korbowie zajęli wydatne miejsce wśród patrycjatu Starej Warszawy. Najtrwalej i najpiękniej zapisał się w kronice miasta Piotr Korb, żyjący



w pierwszej połowie XVII-go wieku i jak się zdaje, ostatni z rodu Korbów. Piastował on kolejno urzędy: rajcy, burmistrza i wójta Starej Warszawy. Na ostatniem stanowisku śmierć go zaskoczyła. Umarł w roku 1625 na zarazę morową.

Ten Korb, niezależnie od innych prac publicznych, zajmował się ze szczególną troskliwością wzmacnianiem murów i upiększaniem wież miejskich. Współczesne pisma urzędowe mówią o nim: „Zacnie szlachetny i chlebowdawca wielki, który na szafarstwie swem ozdobił miasto wieżami cudnymi. Czujny w sprawach miejskich i pilny urzędnik ten i o wójtostwo pilnie się miastu starał.”

Po Korbach, właścicielem domu był Piotr Kłos (według starej współczesnej pisowni *Klos*, albo *Kłosz*). W jednej osobie obywatel i kupiec, konserwował on i pomnażał skarby piwniczne odziedziczone po Korbach.

Z tym Kłosem żył w przyjaźni i zażyłości Stanisław Grochowski, poeta. Książki mu na kolebę posyłał; pisywał do niego listy rymowane; dla zmarłej jego żony ułożył nagrobek. W żartobliwym wierszu Grochowskiego, p. t. „O przygodzie Piotrowej,” o tym właśnie Piotrze jest mowa. Kłos był protestantem i z tego powodu nazywany był przez poetę: „*Herr Piotr*”.

W roku 1647 potwierdzono na sejmie libertacyę tego domu. Był on wówczas własnością wspomnianego już kilkakrotnie Balcera Strubieza, burmistrza, który nabył ją od Kłosa.

W roku 1669 występują jako właściciele „Strubiezowscy sukcesorowie.” Dodajmy, że w rewizyi



gospód w tymże roku odbytej, zapisano pod tym numerem: izb trzy, sklepów cztery, piwnic dwie, kuchni dwie. Stawał tu starosta żmudzki.

W tymże czasie wymieniani są jako właściciele: J. Richard i jego żona Maryanna, nie wiadomo jednak, czy należeli oni do sukcesorów Strubicza, czy też byli bezpośrednimi ich następcami. Richard, z zawodu winiarz, gospodarował pilniej jeszcze w piwnicach, niż w samej posesyi; sławna też była w swoim czasie jego winiarnia. Po śmierci Richarda, kamienica przechodzi na własność Stanisława Razickiego, sekretarza Jana III-go. Razicki był, jak się zdaje, krewnym Richarda, może jego zięciem. Umarł w r. 1687, a wdowa po nim, Zofia Razička sprzedała dom Dawidowi Zapio i jego małżonce Maryannie, *primo voto* Richardowej. Od Zapiów dom przeszedł do Benedykta Wemmera, wnuka Zapiowej. Zmiana nastąpiła w r. 1705. W dziesięć lat później właścicielem stał się Aleksander Wemmer, który jednak zaraz w roku następnym odprzedał go komu innemu.

Nowym nabywcą był Jan Ernest Schindler, superintendent cel J. K. Mości. Pamiątką po tym ostatnim jest znajdująca się dotąd na szczycie domu chorągiewka blaszana z literami J. E. S. i rokiem 1718. W tym roku kamienica została wyrestaurowana i zapewne — ku nienagrodzonej szkodzi archeologii i historii — częściowo przekształcona. Takież sam napis znajduje się nad schodami pierwszego piętra.

W rękę Schindlera pozostawał dom do roku 1781, w którym nabył go Antoni Gaszyński, szan-

belan Stanisława Augusta. Ale już w roku następnym nowonabywca odprzedał go Jakóbowi Rabemu, ławnikowi Starej Warszawy. I dopiero z rąk tego ostatniego, który był wujem kupca Floryana Fukiera, opisywana kamienica przeszła (w. r. 1810) do rodziny Fukierów, w których posiadaniu dotąd pozostaje.

Floryan Fukier (dziad obecnego właściciela domu) zajmował miejsce najwydatniejsze wśród swych staromiejskich współobywateli. Nie wahał się też Alojzy Żółkowski (ojciec) nazywać go „panem Starego Miasta”. Spotykamy to wyrażenie w wierszyku autora „Momusa”, przypisanym Fukierowi, a wydrukowanym z rękopisu przez J. Heppena. Zakończenie wierszyka brzmi:

Miej familię zdrową, ładną,  
 Niech ci długi nie przepadną,  
 Bądź zawsze w dobrym humorze  
 Choć cię zedrą na komorze —  
 Zgoła bądź szczęśliw i basta,  
 Ty—panie Starego Miasta!

Fukierowie warszawscy wywodzą swój ród od Fuggerów niemieckich — choć podobno wyvodu tego dokumentami poprzeć-by nie mogli. Rodzina Fuggerów, której członkowie i w korony dziewięcioperłowe i w mitry przystrajali się, dotąd istnieje, na dwie główne linie rozdzielona. Dziś arystokratyczna, niegdyś była typowo mieszczańską. Głową jej był prosty tkacz wiejski, mieszkający pod Angsburgiem. Zbogaceni potomkowie tkacza stali się finansowymi potentatami, którzy, na podobień-

stwo dzisiejszych Rotszyldów, trzymali w rękę, a raczej w kieszeni, baronów, książąt, nawet panujących. Zamek *Fuggerau* w Tyrolu oraz piękny pałac zwany *Fuggerci* w Augsburgu są prastaremi pamiątkami, nazwisko Fuggerów potomnym przekazującymi.

Według tradycyi, jedna linia Fuggerów, mniej zamożna i mniej w przedsięwzięciach swych szęśliwa, przeniosła się w wieku XV ym do Polski. Jedni Fuggerowie osiąść mieli w Krakowie, gdzie nabyli posiadłości miejskie i wiejskie i gdzie przepolszczono ich na Fukierów. Niektórzy twierdzą, że te dwie gałęzie złączyły się następnie w jedną; według innych Fukierowie warszawscy powstałi bezpośrednio z przesiedlonych do nas krakowskich Fukarów.

Fukierowie, nazywani także Fokierami, trudnili się w Warszawie handlem oraz uprawiali gospodarstwo rolne na gruntach miejskich. Spotyka się niekiedy nazwiska ich w magistraturze, godności jednak burmistrza i wójta żaden nie osiągnął.

Oprócz kamienicy w Rynku, posiadali Fukierowie na przedmieściach kilka dworów i dworków. W miejscu, gdzie dziś znajduje się pałac, ogród i plac Krasieńskich, istniała w początkach wieku XVII-go kolonia Fukierów, złożona z dworu, ogrodu i zabudowań gospodarskich, zwana „Fukierowskie”, albo „Na Fukierowskiem”.

W roku 1623 umarł na zarazę morową Michał Fukier, obywatel Starej Warszawy, właściciel kilku posesyj.

Wedle powszechnego mniemania piszących



o Warszawie, Fukierowie już za Zygmunta Augusta prowadzili „bardzo znaczny handel winem węgierskiem i zamorskiem”.

W rejestrze kupeców, ułożonym przez magistrat warszawski w roku 1789, wymieniono jako pierwszorzędne składy win: Kurowskiego na Przedmieściu-Krakowskiem (wcześniej nieco mieszkał winiarz tego nazwiska na Starem mieście), Maruszewskiego na ulicy Freta i Fukiera w Rynku Staromiejskim.

W czasach, gdy pito u nas dużo wina, zwłaszcza węgierskiego, i gdy najważniejsze sprawy prywatne i publiczne załatwiała się *inter pocula* — pod lukowem sklepieniem Fukierowskiej winiarni, przy żółtem, drgającym świetle lamp olejnych, rzucających na ściany cienie Rembrandtowskie, odbywały się wieczorami istne sejmiki. Hełby dał malarz dzisiejszy, gdyby mógł być choć jedno takie zebranie obejrzeć w naturze!

W każdej epoce zmieniały się stroje i typy, ale nigdy nie przedstawiały takiej bezbarwnej, jałowej, do ziewania usposabiającej szarzyzny, jak za dni naszych.

Książd Kurowski, blizki czasów Stanisława Augusta, pisze: „Tu dawniej licznie uczęszczala szlachta na posilek, ztąd magnaci do swoich stolów brali kosztowne nektary, tu wypoczywali urzędnicy magistratu po dziennej pracy, zabijając sądowe i domowe kłopoty szacownym darem Bacha. Tu niekiedy wysokiego urodzenia i stopni, głośni w kraju mężowie w skromnem odzieniu zwiedzali skrycie zakład głośny w Polsce i w Warszawie”.



Dziś w winnicy Faltarowskiej mamy ani drzewnych słupów, ani drzewnego gwaru. Wzrostają tu wsi jesteśni i ciebał. Do starej kamienicy Karłowskiej ciągną drzewcejszych ludzi albo curna mała obecnice smakowistość, albo dawna, zachwiana jak przez nankę wina w cudowne dźwięki „Dobrego soka,” albo zakamiec — ciekawość.

I dziś pomiędzy gośćmi Faltara panuje wielka różnorodność — nie przedstawia się ona jednak tak malowniczo, jak ongi. Prześpka staromiejjska i grubo majster rzeźniczy wstępują tu niecierpliwie, w godzinach rannych, na „lampkę”. Piją prędko, zwykle nie siadając nawet, i, starłszy usta wierzchem dłoni, śpieszą do zajęcia. Czasem nieśpiesznie dębowe ławy liczniejsze gromu rzemieślnicze: jakaś kompania majstrów, powracająca z sesji cechowej, jacyś członkowie bractwa, radzący o sprawieniu nowej chorągwi, jakaś wreszcie rada tamilijna, bieżąca się nad kwestyą „działów”. Kiedyś indziej, obsiadają stoliki ludzie sędziwi, wierzący, że wino jest „mlekiem starców”. Światło lampy wiszącej nie wystarcza im; każą sobie jeszcze świecę zapalać. Są między nimi starzy obywatele warszawscy, wysocy urzędnicy na emeryturze, kapitaliści, nigdy nie wiedzący co zrobić z pieniędzmi swemi i czasem. Kto by rozmowy tego grona, nieraz bardzo żwawe i głośne, zapisywał, zebrałby ciekawy materiał do kroniki naszego miasta.

Co pewien czas odwiedza winiarnię jaka znakomitość. Wypija butelkę drogiego wina (a są tam butelki kosztujące po 50 i 60 rubli), kilka butelek każe sobie zapakować i odesłać, wreszcie prosi,

aby pokazano piwnice. Takim gościem znakomitym bywa raz szach perski, kiedyindziej Matejko; raz Don Carlos, król bez trouu, kiedyindziej wielki tragik Rossyi, albo jakaś znakomitość literacka: Pol, Syrokomla, Kaczkowski.

Dzień, w którym wstąpił w te mury Matejko, był świętem dla zakładu i rodziny. Mistrza, który wczesnym rankiem wybrał się na zwiedzenie Starego Miasta, napotkał wypadkiem sędziwy Fukier, również ranny ptaszek. Poznawszy, pozdrowił, w objęcia chwycił i do siebie zaprosił. Niebawem Matejko znalazł się przy stole, w otoczeniu całej rodziny kupca. Na stole zjawiała się butla dziwnego kształtu, grzybami obrosła, z przywieszoną do szyjki metryką pergaminową, stwierdzającą, iż z wieku XVI-go pochodzi. W butli było wino „hetmańskie“, największa składów Fukierowskich osobliwość. Potem artysta zaproszony został do obejrzenia piwnic, rzeczy, godnej zaprawdę widzenia.

Piwnice Fukierowskie, dziś bardzo obszerne, dawniej nie były takimi. Właściciel zmuszony był przez czas długi trzymać nadmiar win po za domem. Dopiero w roku 1850, gdy dom sąsiedni został nabyty przez jego współnika, postanowiono piwnice obu posesyi połączyć. Przy przebijaniu dzielącego je muru, natrafiono na dwie niespodzianki: na ukryte w murze dukaty oraz na futrynę, wskazującą, że dawniej już istniało przejście z jednej piwnicy do drugiej. Ślad takiego połączenia znaleziono też w murze, dzielącym tę drugą posesyę od następnej.

*Ostatnia okoliczność nasuwa domysł, że przed*

wiekami wszystkie piwnice domów staromiejskich łączyły się ze sobą. Byłoby to łatwe do zrozumienia w epoce, gdy Warszawa, opasana murem i na małej przestrzeni skupiona, stanowiła rodzaj twierdzy, narażonej na częste napady. W danej chwili każda kamienica stawać się tam mogła redutą, a jako reduta, posiadać musiała tajemne wyjścia dla oblężonych. Posuwając domysł dalej, przypuszczać można istnienie większych, niezależnych od piwnic podziemi, w których zagrożona ludność kryła siebie i sama szukała ukrycia. Podziemia kończyć się mogły korytarzami podziemnymi, przez które w potrzebie mieszkańcy wyjść mogli z oblężonego miasta i szukać schronienia w gęstych borach, otaczających Warszawę.

Przy sposobności dodajmy, że w kilku punktach Starego Miasta natrafiiono na niewątpliwy dowód istnienia piwnic o dwóch kondygnacyach: wyższej i niższej. To również dowodzi, że miasto ściśnione murem i nie mogące powiększać się wszertz, rozrastało się na wysokość i na głębokość.

W sieni kamienicy Fukierowskiej wisi u stropu mały, misternie wyrobiony z drzewa okręciak. Jest to wyrób gdański, służył zaś ongi za godło kupieckie. Na giełdzie w Gdańsku dużo takich okręciaków oglądać można.

Okręciak Fukierowski pamięta jeszcze niezawodnie czasy Jerzego Korba, który może własną zawiesił go tu ręką. Oprócz okręciku, zdobi się figurą Dzieciątka Jezus, siedzącego na baranku, oraz łeb jeleni, w jedną ze ścian wmurowany. Dwóch



ostatnich godeł historyą domu wytłomaczyć nie można. Może przeniesione tu zostały skądinąd.

Godne są jeszcze uwagi stare żelazne ganki i balustrady schodowe oraz w samej winiarni dwa pyszne szkice *à deux crayons* Aleksandra Orłowskiego, z czasów poprzedzających jego wyjazd do Petersburga. Może młody artysta, lubiący hulać, a żyjący podówczas w wielkim niedostatku, zapłacił niemi kupcowi za wypite z towarzyszami wino?..

### № 29 (47).

Mikołaj Giza, sekretarz królewski oraz starszy ławnik, *archiscabinus*, S. Warszawy, był posiadaczem tej kamienicy w początkach wieku XVII go. On ją też może i wymurował, dom bowiem Franciszka Roli, który tu stał za Zygmunta Augusta, był prawdopodobnie drewniany. O tym ostatnim akta współczesne mówią wyraźnie *domus*, a nie *lapidea*.

Mikołaj Giza umarł dość młodo; potem, przez lat blisko dwadzieścia, dom pozostawał w ręku wdowy po nim. Rewizya gospód w „kamienicy pani Giziney“ zapisuje: izdeb dziewięć z przegrodami, komorę, salę, sklepów dwa, piwnie dwie, kuchni trzy, „kromnie“ dwie. Stawał tu Podkanclerzy Litewski.

W XVIII wieku posiada tę kamienicę Nowicki; potem jest własnością jego sukcesorów; wreszcie przez długie lata pozostaje w ręku Filipeckich.

W 1793 roku, po śmierci księdza Łuskiny, do tego domu została przeniesiona redakcyja „Gazety Warszawskiej“. Mieściła się jednak tu krótko, bo *tylko od 1 października do 31 grudnia*.



## Pr. 31 (48).

Dość rzucić okiem na tę wielką, ciężką, osadzistą, potężnemi skarpami umocnioną budowlę, aby przekonać się, że co najmniej pięć stuleci na barkach dźwiga. W istocie, jest to najstarszy z warszawskich zabytków budownictwa. Zwykle u nas barbarzyństwo w rzeczach estetyki i starożytnictwa odarło częściowo tę budowlę z jej wspaniałej szaty archaicznej, i w dzisiejszym jednak kształcie ona wyróżnia się uderzająco od wszystkich, młodszych od siebie, lub niezdarnie odmłodzonych kamienie.

Nazwa „kamienicy pod Świętym Markiem”, jaką przez czas długi domowi temu dawano, jest znacznie młodsza od niego samego. Sięga ona zaledwie połowy XVII wieku, gdy Wloch, rodem z Wenecyi, stawszy się właścicielem domu, herb swego miasta na jego czole umieścił.

Za rzecz pewną można uważać, że ta kamienica stoi od początków wieku XIV. Wystawili ją książęta Mazowieccy na rezydencję dla siebie i na dwór gościnny dla przyjaciół.

Za rządów Janusza Starszego, ożenionego z Danutą, córką W. Ks. Litewskiego. Kiejstuta, ten ostatni, uchodząc z niewoli krzyżackiej, tu przez czas pewien przemieszkiwał. Było to w 1361 roku. Syn Kiejstuta, Witold, w tej kamienicy bawił około 1380 roku. Nie doznawszy godnego siebie przyjęcia, odjechał do Płocka do księcia Ziemowita, nad którego przelożył znów Krzyżaków, udawszy się pod ich opiekę do Malborge.

Zdaje się, że wspomniany w dziejach „Ostat-

tniej Księżnej Mazowieckiej”, tak zajmująco opowiedzianych przez A. Pawińskiego, „Dom czyli Zamek książęcy mniejszy, zwany Ogródkiem” — jest tą właśnie kamienicą. Ów „Ogródek”, po przyłączeniu Mazowsza do Korony, oddany został przez Zygmunta Starego księżnie Annie na „wolne używanie”. Po zamążpójściu Anny, król, stosownie do warunku z góry postawionego, zamierzał odebrać udzielone jej „uczciwe opatrzenie panięskie“ i, między innymi, usunąć ją z domu książęcego. Doszło wówczas do sceny gwałtownej, w której występował nawet woźny z pacholkami. Scena zakończyła się tryumfem księżnej, za którą ujęli się mieszczanie warszawscy; ostatecznie jednak zwycięstwo pozostało, gdyż pozostać musiało, przy królu.

Za przypuszczeniem naszym przemawia i ta okoliczność, że ówczesny Zamek warszawski był drewniany, szczupły; i król, obejmując go wraz z księstwem w posiadanie, dzieliłby się nim nie mógł. Przytem przemieszkiwanie rodziny książęcej po za obrębem Zamku było we zwyczaju—co stwierdza fakt, że książe Janusz, rodzony brat Anny, zakończył życie w przyległej Zamkowi *Mansionarii*, to jest kamienicy księży Mansyonarzy od Ś-go Jana. Zaznaczymy mimochodem, że Pawiński mylnie nazywa tych ostatnich „Misyonarzami“.

Dawna kamienica książąt Mazowieckich (*Lapidea Ducum Masoviae*), stawszy się własnością królewską, przeznaczona została na pomieszczenie znaczniejszych urzędników. Oduowiono ją też w tym czasie i odpowiednio przerobiono. Upamiętniony jest ten fakt w położonej nad wejściem dacie: 1535 r.

Bok kamienicy, odsłoniony na całą długość od strony Dunaju, a ciągnący się aż do Piwnej, okazuje, jak wielka i krzepka jest ta budowla. Wystające skarpy, głębokie wnęki przy drzwiach, wiodących wprost z ulicy do piwnic (sklepów), nieregularnie rozmieszczone, różnej wielkości okna, wreszcie kryty murowany ganek, wygodny do ostrzeliwania napastników—dają całemu domowi pozór niaby twierdzy.

Wspomniany ganek, według twierdzenia niektórych dziejopisów Warszawy, był niegdyś niezbędnym dodatkiem wszystkich domów narożnych, stojących wprost bram miejskich. Musi być w tem twierdzeniu pewna niedokładność, bo najpierw, na dwóch tylko domach ganki takie (zwane inaczey „łożami“) dochowały się, na innych zaś śladu ich nie ma, powtóre, drugi z istniejących ganków, na rogu Celnej, obrócony jest nie wprost, lecz bokiem do miejsca dawnej bramy.

Róg kamienicy, którą opisujemy, ozdobiony jest kamienną wypuklorzeźbą, która przedstawia Świętą Annę, trzymającą Pana Jezusa i Najświętszą Panienkę. Styl tej rzeźby wskazuje średniowieczne jej pochodzenie. Zkąd jednak tu się wzięła? Przypuszczać można (a na przypuszczenia w pierwotnej historii Warszawy jest, niestety, aż nazbyt wiele miejsca), że umieszczono ją na pamiątkę i dla uczczenia którejś Anny, księżnej Mazowieckiej.

Księżen Mazowieckich tego imienia było pięć: Anna księżniczka Oleśnicka, żona Władysława I-go, Anna Hunowska, wojewodzianka Rełzka, żona Bolesława IV-go, Anna Krakowianka i Anna Radziwił-



łówna, obie małżonki Konrada III-go, wreszcie Anna, ostatnia księżna Mazowiecka, o której wyżej wspomniano. Wielka starożytość rzeźby czyni prawdopodobnem przypuszczenie tylko co do pierwszej z tych pięciu.

Lud warszawski na swój sposób tę rzeźbę po-bożną tłómaczy. Widzi w niej poprostu: matkę z dwojgiem bliźniąt i na tej zasadzie dom cały nazywa kamienicą „pod Bliźniętami“. Z właściwą też sobie naiwnością, nie licząc się z warunkami miejsca i czasu, przyczepia do tego domu i do tych rzekomych „bliźniąt“ legendę a raczej bajkę o Warze i Sawie.

War i Sawa mieli być dziećmi ubogiego leśnika, mieszkającego tu w czasach, gdy wielka puszcza rozciągała się na miejscu późniejszej Warszawy. Któryś z królów, zbłądziwszy na polowaniu, miał w domku leśnika znaleźć pożądane schronisko, a przez wdzięczność zająć się jego dziećmi. Za otrzymane od króla pieniądze zbudowano piękny dwór, gdy zaś obstały go inne dwory i dworki, powstała ztąd osada, która następnie dała początek Warszawie. Jest to dość ładne jako bajka; wątką jednak historycznego naprózno by kto w tem szukał.

Inna bajka, późniejszego pochodzenia, nazywała tę kamienicę dawnym kościołem Aryanów. Źródłem jej były niezawodnych umieszczeń na domu wyobrażenia świętych. Zbil tę bajkę jeszcze ks. Kurowski. Przypomniiał on tym, co ją powtarzali: *najpierw, że u Aryanów żadne wyobrażenia religijne, tak w rzeźbie jak i w obrazach, nie używa-*



no; powtóre, że wyraźne w tym względzie postanowienie książąt Mazowieckich zabraniało, tak w Warszawie jak w całym księstwie, wszelkich sekt religijnych.

I jedna jeszcze bajka wylęła się na tym podatnym do baśni gruncie. Jest ona zupełnie innego rodzaju; należy do kategorii bajek ciężko uczonych, które często do dzieł poważnych przechodzą, a niekiedy w nich i pozostają. Komuś wydało się, iż rzeźba przedstawia *Babe*, bóstwo Słowiańskie uosabiające matkę całej przyrody. Doszli nawet, że jest to „Baba Złota“, czyli letnia — przeciwstawienie „Babę Żelaznej“ czyli zimowej, nazywanej u nas „Babą-Jędzą“. Twórcy tej bajki nie wzięli pod uwagę, że cały charakter rzeźby nie ma w sobie nie pogańskiego, i że kamienica czasów pogańskich sięgać nie może.

Nie bajką, ale błędem jest wiadomość, że w kamienicy tej, za Zygmunta III-go, mieściła się *pierwsza* mennica warszawska. Zagórski w „Monetach Dawnej Polski“, opisując pod № 215 szeląg z 1622 r. ze zgłoskami S. R., mówi: „Szelągi tego stempla pochodzą z mennicy warszawskiej, po raz pierwszy 1622 roku, dla wybijania w niej drobniejszej monety otworzonej, w której był mincarzem Jan Schmidt. Według podań, istnieć miała w Rynku Starego Miasta, w kamienicy narożnej, dziś liczbą 48 oznaczonej“. Wiadomość powyższą prawie dosłownie powtarza F. M. Sobieszczański. Od niego przeszła ona do wszystkich niemal piszących o Warszawie. Tymczasem mennica szelągowa, czyli do wybijania szelągów, otwarta została w Warszawie po

raz pierwszy zupełnie gdzieindziej, mianowicie: na rogu Przedmieścia Krakowskiego i ulicy „Gnojowej“ (dziś Bednarskiej). Pomieścił ją tam Zygmunt III-ci w domu, a raczej pałacu, ofiarowanym sobie przez sukcesorów Andrzeja Boboli. Zasługa tego odkrycia należy się Weinertowi, który jeszcze przed wydaniem swych „Starożytności“ ogłosił o tem wiadomość w „Bibliotece Warszawskiej“.

Cokolwiekby, mennica w owym miejscu długo nie istniała. Już w 1632 roku, zaraz po śmierci Zygmunta III-go, królewicz Władysław, za zgodą rodzeństwa, z tego dworu czy pałacu uczynił darowiznę Adamowi Kazanowskiemu. W akcie darowizny powiedziano, że ten gmach „przez pewien przeciąg czasu do użytku bicia monety był urządzony“. Forma tego zdania wskazuje, że już w owym czasie fakt należał do przeszłości. Być może, iż następnie mennica na Stare Miasto została przeniesiona—ale nie było to już pierwsze jej pomieszczenie. Wspomniałem wyżej o Wenecyaninie, który dawną kamienicę książąt Mazowieckich herbem swego miasta przyozdobił. Tym Wenecyaninem był Tytus Liwiusz Boratyni, zarządca i dzierżawca mennicy za Jana Kazimierza. On to i Andrzej Tympf, dzierżawca mennicy poznańskiej, zadali najcięższy cios finansom Rzeczypospolitej. Obu ich nazwiska utrwaliły się w numizmatyce naszej. „Boratynkami“ nazywano szelągi miedziane, bite od 1659 do 1666 roku, które nie miały ani połowy wartości nominalnej; „tymfami“—złotówki, czyli trzydziestogroszówki, które w rzeczywistości nie były warte więcej, niż groszy 13. Gdy nadużycie stało się zbyt rażą-

cem, przezorni Gdańszczanie osadzili Tympha w więzieniu, zkaąd uwolniony, wyniósł się z całą rodziną zagranicę. Boratyni, z prawdziwie włoską przebiegłością, potrafił nietylko wykręcić się o dkary, ale jeszcze dojść do znaczenia i dostojenstw. Na sejmie 1652 r. zaprzysięgał on swą niewinność—a jednak Lengnich w „Historyi Prus“ twierdzi z dowodami w rękę, że oszukał skarb Rzeczypospolitej na 3 miliony złotych.

Wracając do naszego przedmiotu, z zupełną pewnością utrzymywać możemy, że „boratynki“ nie były wybijane w kamienicy Boratini'ego. Za Jana Kazimierza mennica warszawska mieściła się na przeciwnym krańcu miasta: w części Zamku Ujazdowskiego.

Możliwe jest jednak, że w swej kamienicy staromiejskiej wybijał Boratini monetę srebrną, ale dopiero od 1667 r. W tym roku milionowy już wówczas „arendarz“ finansów Rzeczypospolitej, „wygodziwszy“ tej ostatniej „znaczną sumą *in vim* arendy“, otrzymał pozwolenie na otwarcie mennicy szóstakowej, która była przez czas pewien zamknięta. Podskarbi W. Koronny został zobowiązany, aby o ilości wybitych szóstaków „dostatecznie Rzeczpospolitą informował“; wyznaczono też komisarzy, którzy mieli wskazywać wzór monety i realną jej wartość ustanawiać. Po abdykacyi króla, mennica warszawska, popołu ze wszystkimi mennicami krajowemi, została zamknięta. Skarbowi Koronnemu i Litewskiemu zlecono, aby obmyśliły sposoby poprawienia monety i lepszego urządzenia mennic na przyszłość „*sine praeiudicio* Urodzonego Boratynie-



go<sup>n</sup>. Za Michała Korybuta, mennica warszawska weale czynna nie była. Niewielką ilość monet bito jedynie w Bydgoszczy, Gdańsku, Toruniu i Elblągu.

Boratyni był wierzycielem Rzeczypospolitej na znaczną sumę. Aby rachunki z nim wyrównać, oddano mu administrację mennicy krakowskiej, z której dochód szedł wyłącznie na pokrycie należności, przyznanych mu na sejmie 1667 r. Ztąd to aż do zamknięcia wszystkich mennic krajowych, to jest do 1685 r., na monetach koronnych Jana III zjawiają się nieustannie fatalne głoski T. L. B.

Wynika z powyższego, że w kamienicy, którą opisujemy, mennica istniała przez czas bardzo krótki.

Aby skończyć z Boratinim, dodajmy, że rodzina jego jeszcze w początkach XVI-go w. prawdopodobnie razem z Boną, przybyła do Polski. Tytus Liwiusz Boratini otrzymał *indygenat* na sejmie 1658 r. Mianowano go też starostą Osieckim.

„Arendarz” mennic był nietylko znakomitym — po dzisiejszemu wyrażając się — finansistą, ale też i znacznej miary uczonym. Jako uczony, wyrobił sobie uznanie i stanowisko, które następnie, jako finansista, wyzyskał. Oprócz rozprawy: „Informacya o mennicy szelągowej” (*folio*, k. 16, b. m., 1663), którą przedrukował Wiszniewski w „Historyi Literatury”, Boratini wydrukował w Wilnie (1675 r.) po włosku, taktat z zakresu fizyki: „*Misura univérale*”, wspomniany w dziele Ciampi’ego, traktującym o Polakach, wsławionych we Włoszech, *i Włochach w Polsce*. Ostatnią książkę Boratiniego, *znaną dotąd w jednym tylko egzemplarzu*, opisał



szczegółowo T. Zebrowski w warszawskim „Prze-  
glądzie bibliograficzno-archeologicznym” (tom I,  
str. 402) <sup>1)</sup>.

Wreszcie wspomnieć trzeba i o wiadomości,  
podanej przez Sobieszczańskiego, który pisze, że  
Boratinii „wypracował projekt założenia akademii(?)  
na jednej z kęp wiślanych pod Warszawą”. Może  
to była akademія... rybolówestwa?

Aż do 1832 r., jako pamiątka po Boratinim,  
ozdabiało dom godło Wenecyi: święty Marek kłę-  
zczący, z chorągwią w ręku, przed nim lew z otwar-  
tą księgą, noszącą napis: *Pax tibi Marce Evangelista meus*.

Innym jeszcze, starożytniejszym od poprzed-  
niego znakiem pyszniła się ta kamienica do owe-  
go czasu. Było nim wyobrażenie „Pogoni”.

Wszystkie te szacowne pamiątki, istne relikwie  
Warszawy, we wspomnianym roku usunął, zniszczył  
i zatarł niejaki imépan Franciszek Tietz, nowonabyw-  
ca domu. Jako człek dbały o to, aby jego „nieru-  
chomość“ pięknie się przedstawiała, nie poprzestał  
on na tem, ale jeszcze całą attykę domu kazał swo-  
im smakiem przerobić. Ten pan Tietz nie jest u  
nas wyjątkiem; jest może raczej—typem.

Rzecz dziwna: dlaczego ani w Lustracyi z ro-  
ku 1655, ani w późniejszej o lat czternaście Rewi-  
zyi, przy tej kamienicy nie wymieniono nazwiska

<sup>1)</sup> W 1897 r. Krakowska Akademia Umiejętności ogłosi-  
ła tę pracę w przekładzie polskim, pod tyt. „T. L. Boratiniego  
Miarą Powszechną”. 8-o, str. VI i 32 z 4-ma tablicami rysunków.

Boratini'ego? W pierwszej wskazana jest jako właścicielka: Mincerowa, w drugiej napisano: „kamienica narożna *ante* Szalapskiego, *ad praesens* Mincerowska“. Możliwe na tej podstawie zbudować przypuszczenie, że Boratini albo wcale tego domu nie posiadał, albo posiadał go już po roku 1669. Oba fakty do wiary niepodobne. Możliwe jeszcze przypuszczać jedno, że dom należał do Boratini'ego pomiędzy datą Lustracyi i Rewizyi — czemuż jednak w takim razie nie napisano w tej ostatniej: *ante* Boratini'ego? Odkładając na później dochodzenie tej zagadki, zajmijmy się tymczasem osobą wymienioną w obu dokumentach Mincerowej. Nazwisko to w dziejach kamienicy ważne, gdyż nazywano ją przez czas długi „Mincerowską“.

Mincerowa, właściwie Mintzerowa, była wdową po Dawidzie Mintzerze, sekretarzu królewskim, który umarł w r. 1652, mając lat 40. Żona, Maryanna, z domu Horlemes, znacznie męża przeżyła. W katedrze znajduje się tablica marmurowa, szeroko wysławiająca zasługi publiczne Dawida Mintzera. Umieściła ją tam wdowa wraz z synem Felicyanem.

Sobieszczański twierdzi, że „dom, przez wiele lat nazywany kamienicą pod świętym Markiem, za Sasów mianowany został od nowego właściciela Mincerowskim.“ Jeżeli zasłużony historyk Warszawy nie myli się co do czasu, znaczyłoby to, że jeszcze w połowie zeszłego wieku dom pozostawał w ręku potomków Dawida Mintzera, lub też że do jednego z nich z cudzych rąk powrócił.

Za Stanisława Augusta, właścicielem kamienicy był *Lobert*, prezydent Starej Warszawy. W tym

czasie mieściła się tu głośna „traktyernia” francuska Quellusa, w której na obiadach i kolacyach bywało „wielu panów orderowych z zaproszoną kompanią, z chwałą i estymacją dla tegoż kuchmistrza, że w wybornych sosach i smakach osobliwszych potrawy daje, i do tego w takiej okazałości i paradzie stoły trzyma, jak i panowie zwykli mieć stoły swoje”. Ostatnich szczegółów dowiadujemy się z ogłoszeń o tej jadalni, umieszczanych w *Gazecie Warszawskiej*. Dodano też tam, że panowie mogą z zupełnem zaufaniem udawać się do traktyerni „naprzeciwko Ratusza”, gdyż „pan Quellus nie przyjmuje, chyba tylko dystyngowane osoby”.

Po Lobercie, właścicielami kamienicy byli: Morytz, następnie Wnorowski.

Niemalą osobliwością tego domu są piwnice podwójne, to jest umieszczone jedne nad drugimi. Kształt ich i ślady dawnego urządzenia wskazują wyraźnie, że służyły ongi za więzienie. Okoliczność ta czyni tem prawdopodobniejszym pogląd mój, że ta kamienica była „Ogródkiem” książąt Mazowieckich. „Ogródek” nie znaczy w tym razie nic innego jak *gródek*, czyli mały *gród*; grody zaś jednoznaczne były z zamkami, a każdy z pierwotnych zamków posiadał podziemia, w których jeńców trzymano.

Jako fakt drobny, ale w stosunkach warszawskich niezwykły, zapiszmy, że około roku 1820 mieścił się tu sklep bławatny, pod firmą: Lewi Beer Bernstein. Było to może pierwsze wtargnięcie żywołu żydowskiego do tej dzielnicy—która dziś gęsto już jest nim zaludniona.



## C. Bok Północny.

(Pomiędzy Nowomiejską i Krzywem Kolem).

Z czterech boków warszawskiego Rynku Staremijskiego, względnie najlepiej dochował się *bok północny*, pomiędzy ulicami: Nowomiejską i Krzywem Kolem.

Tu zębata linja dachów najfantastyczniej się lamie; tu najwięcej furt starych, żelazem okutych i marmurem obramionych; tu z wnęki po nad drzwiami, wychyla się wielka głowa murzyńska, niby gość z innego świata; tu na szczytach kamienie stoją figury świętych, jakby skamieniałe w procesjonalnym pochodzie...

Piękny to łańcuch pamiątek—i oby nigdy ręka profana lub spekulanta najmniejszego z jego ogniów nie uszkodziła!

Postępując w tym opisie od kamienicy do kamienicy, odwrócić musimy w tem miejscu porządek numerów policyjnych, przechodząc od wyższych do niższych.

## № 42 (49).

Ta narożna kamienica przed niedawnym jeszcze czasem odznaczała się wielką typowością i malarzskim „charakterem“.

Prócz starych, czcigodną sędziwością omroczo-nych i plamami pleśni malowniczo umozajkowanych murów, składały się na to: silnie wystające skarpy, *typowa* kramnica od strony ulicy Gołębiej i duża *latarnia olejna* zawieszona wysoko na wielkiem, że-



laznem, pałakowato wygiętem i na samym rogu przybitem, ramieniu.

W tej postaci wczorajszej, dziś już zatartej, oglądać można tę kamienicę w „Widokach Warszawy, rysowanych z natury przez Gersona i Lerue w r. 1852“, (Warszawa, nakład J. Schmidta).

Najdawniejsze źródła nazywają ten dom „Philipowskim“. Potem był on własnością Montelupiego. O Montelupim będziemy mówili przy opisie następnej kamienicy, która również do niego należała.

W roku 1669 znajdowała się tu gospoda księdza referendarza koronnego.

Ostatnimi właścicielami byli: Lignau i Piotrowski. W pierwszej połowie tego stulecia miał tu handel korzenny Tomasz Brzeziński.

#### № 40 (50).

Jest to posesya jedna z okazalszych i bogatszych we wspomnienia.

„Clemensowska“ nazywa ją stara Kewizya gospód. Jak się zdaje, pochodzi ta nazwa od imienia Jana Klemensa z Radziwia, doktora medycyny, który w pierwszych latach w. XVII-go, był burmistrzem Starej Warszawy, a prawdopodobnie i ten dom posiadał.

Po Klemensie, wymieniony jest jako właściciel Montelupi. Ten Montelupi był za Jana Kazimierza sekretarzem królewskim, oraz „magistrem“ pierwszej w Warszawie stałej poczty. Sobieszczański, z materiałów po Adrjanie Krzyżanowskim pozostałych, przytacza wiadomość, że król w r. 1649 nazmaczył

Karolowi Montelupiemu, jako poczmistrzowi, płacę roczną 100 dukatów węgierskich. Umarł Montelupi w r. 1662, ożeniony zaś był z Barbarą Strubiczówną, córką burmistrza.

Zasłużony historyk Warszawy, wymieniając Karola Montelupiego jako pierwszego zarządcę i organizatora poczty warszawskiej, nie wspomniał o ważnym fakcie: że zarząd poczt krajowych już od Stefana Batorego znajdował się w ręku rodziny Montelupich.

W wydanych przez Edwarda Raczyńskiego, „Pamiętnikach do historii króla Stefana”, przytoczono akt nadania poczty Sebastjanowi Montelupiemu. Akt podpisano w Niepołomicach 29-go stycznia 1583 r.

Dowiadujemy się z nadania, że pierwszą pocztę krajową zaprowadził Zygmunt August i że już za jego rządów Montelupowie nią kierowali. Akt oddający pocztę „pod zarząd Sebastjana Montelupi, szlachcica florenckiego i Walerego, jego siostrzeńca“, wspomina o ich „zdatności i wierności, na tym urzędzie dawniej okazanych“.

Montelupowie obsługiwali trakt z Krakowa do Wenecyi. Bieg poczt tak był urządzony, że gońcy przebywali tę drogę w piętnaście dni, czyli dwadzieścia cztery razy na rok. O Warszawie powiedziano w nadaniu tylko tyle: „Gdybyśmy z dworem naszym z Krakowa do innego przenieść się mieli miasta, obowiązują się Montelupowie listy i wszystkie pocztą przychodzące przedmioty swoim kosztem do Warszawy jak najspieszniej przesyłać“.

*Rodzina Montelupich* otrzymała u nas indyge-

nat za Henryka Walezjusza. Niesiecki przypuszcza, że od Montelupich pochodzą Wilezogórsey.

Dlaczego nazywano tę kamienicę „Majnowską“, jak utrzymuje ksiądz Kurowski, nie dośzedłem.

W „Rewizyi Gospód“, czytamy co następuje:  
 „Kamienica *ante* Clemensowska, *ad praesens* Montolupiego. Izb 3, sklepów 2, kuchni 1. *Ante* LMC. Marszałek Nadworny, a teraz IMP. Kasztelan Sandomirski. Jako bywała przedtym Marszałkowska, tak y teraz ma bydź”.

Ustanowienie w tej kamienicy gospody Marszałkowskiej wskazuje, że poczytywano ją za jedną z najokazalszych i najwygodniejszych w Starej Warszawie.

W połowie XVIII-go wieku właścicielem jest Sahim (Klaudjusz Antoni), kupiec warszawski, zapewne Ormianin.

Od Sahima nabywa tę piękną posiadłość książę Antoni Barnaba Jabłonowski, podówczas wojewoda poznański. Ten mąż, od innych Jabłonowskich odrodny, znany był z przekonań demokratycznych i manifestacyjnie bratał się z mieszczanami. Ten to Jabłonowski podpisał manifest przeciw konwokacyi Czartoryskich, gwałtom na sejmikach i t. p. Jako delegat konfederatów Barskich posłował do Francyi, a od roku 1782 był kasztelanem krakowskim—ostatnim.

W roku 1779 kamienica powróciła do rąk mieszczkańskich. W tym roku nabyli ją (za 4,300 dukatów, jak opowiada ksiądz Kurowski), dwaj kupcy warszawscy: Marcejalis Ryszard i Klemens Bernaux.



W ręku ich pozostawała niedługo, gdyż już w trzy lata później posiada ją głośny w swoim czasie lekarz warszawski, Wincenty Gagatkiewicz, którego pamięć dotąd się przechowala.

Wielką wziętość i popularność zawdzięczał Gagatkiewicz w równym stopniu wiedzy i filantropii. Nietylko leczył chorych, lecz i wspierał biedaków.

Niemalą zasługą Gagatkiewicza było założenie pierwszej u nas Szkoły chirurgów. Mieściła się ona przy ulicy Mostowej, w gmachu szpitala ś-go Łazarza.

Ksiądz Kurowski opowiada, że popularny lekarz-filantrop pozostawił dość znaczną fortunę (17,000 dukatów, prócz kamienicy i cennych kosztowności) i że tę fortunę jedyny jego syn w krótkim czasie przemarnował, i w szpitalu życia dokonał.

Naukowe zasługi Gagatkiewicza wyłożył dr. Lafontaine w obszernej mowie, wygłoszonej na posiedzeniu Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, wydanej następnie w oddzielnej broszurze. Broszurę zdobi piękny portret Gagatkiewicza, rytowany przez Ligbera podług malowidła Bacciarrellego.

W kamienicy, o której mowa, mieściła się przez czas pewien drukarnia Rakoczego albo Ragoczego, gdyż dwojako to nazwisko bywa drukowane. Drukarnia, założona w r. 1778, znajdowała się początkowo w Marywili „pod znakiem Poetów“ i nosiła firmę Michała Groella. Rakoczy, ożeniony z córką Groella, zarządzał drukarnią, a następnie nabył ją *na licytacyi* na własność. Przeniesiona z Marywili do „pałacu przedtem Saskiego“, znalazła wre-



szenie ostatnią przystań w Rynku Staromiejskim. Drukarnia Rakoczego istniała od r. 1800 do 1845. Nabył ją następnie Józef Tomaszewski.

Po Gatkiewiczu właścicielem domu był Dornfeld później Temporowski, a obecnie, już od lat kilkudziesięciu, pozostaje w rodzinie Białowasów.

### № 38 (51).

To również dom piękny i okazały. Pierwsza taryfa nazywa go „Rongiuszewskim“. O Rongiuszu wiadomości bliższych nie mamy.

W połowie XVII-go wieku występuje jako właściciel, Krzysztof Possamonik, również dokładniej nam nie znany. Może zamiast nazwiska, wskazano przy imieniu rzemiosło — co jednak sprzeciwiało by się ówczesnym zwyczajom, wśród posesyonatów zachowywanym.

O następnych właścicielach: braciach Brancarini, wiemy, że byli kupcami warszawskimi. Żyli się oni tak bardzo ze swą przybraną ojczyzną, że, spolszczywszy nazwisko, przewali się Brankarynowskimi.

Od tych Włochów spolszczonych, nabył kamienię ziomek ich Piotr Talent, sekretarz królewski. Dotąd, wśród godel, znajdujących się nad furta, dostrzedz można ledwie czytelne litery *P. T.*, będące inicjałami Talentiego, a przy nich rok 1663, który jest datą nabycia oraz gruntownego przebudowania kamienicy.

Z córką Talentiego, Elżbietą, ożenił się Stanisław Narzymski, starosta ciechanowski i kamienicę

otrzymał w posagu. W rodzinie Narzymskich ona pozostawała do roku 1720, w którym syn Stanisława, Jakób Narzymski, starosta bobrownicki, sprzedał ją Dominikowi Winklerowi, pisarzowi skarbu koronnego.

Ten ostatni umarł wkrótce, a kamienica przeszła na własność Macieja Kurowskiego, który za drugiego z Sasów, utrzymywał w tem miejscu słynną winiarnię.

Kurowski był rzadkim i prawie niesłychanym w owej epoce przykładem szlachcica polskiego, który jawnie jął się handlu (w skrytości szlachta oddawna to czyniła). Bracia karmazyni wyparli się odstępcy, okryli go wzdrgadą i śmiesznością. Ale Kurowski wytrwał na stanowisku, zyskał u współmieszczan poważanie i dorobił się znacznego majątku. Potomstwo dostało bogatą puściznę materialną, ale nie odziedziczyło po dzielnym człowieku niezależnego ducha i wyprzedzających epokę przekonań. Synowie wyprzedali wielkie zapasy win, a wnuk z prostej linii Józef Kurowski, porucznik w wojsku saskim, sprzedał w r. 1782 i kamienicę.

Ozdób symbolicznych i artystycznych domowi temu nie braknie. Nad wejściem malowniczo zatacza się łuk przejrzystych ornamentów z kutego żelaza. Piękne są drzwi same, okuciem artystycznym pokryte. Wewnątrz zwraca uwagę prześliczna poręcz schodów o stopniach kamiennych, również z kutego żelaza.

Zatarte godło na murze, o którym wyżej wspomniałem, wyobraża cztery na krzyż ułożone kółka *czy też krążki*, na których widać bardzo już nie-

wyraźne rysunki, przypominające cokolwiek orzelki heraldyczne.

To godło, oraz wiele wewnętrznych ozdób, jak niemniej przystrojenie wazkiego dziedzińczyka licznymi w smaku włoskim gankami, zawdzięcza dom Talentemu. Potwierdza to ów rok na ezole domu, który jest rokiem nabycia i przebudowy całej posesyi przez wspomnianego Włocha.

Natomiast cała ślusarszczyzna artystyczna, która tak obficie i bogato całe wnętrze domu ozdabia, wybiegając na zewnątrz misternem okuciem furty i wzorzystemi nad nią ornamentami, są dziełem Kurowskiego. Niepowszedni ten człowiek, w jednej osobie szlachcic i mieszczanin, kupiec i artysta, z wyjątkowem zamiłowaniem stroił swą posiadłość w klejnoty z żelaza. Kraty w oknach, nad drzwiami, poręcze schodów, balustrady ganków i t. d. wykute zostały przez niepospolitego w swoim rodzaju artystę jedynie przy pomocy różnej wielkości młotków. Roboty takie, nie wzmacniane nitami, wymagają w równym stopniu uzdolnienia artystycznego, jak siły, zręczności i cierpliwości — zwłaszcza gdy wykonawcą jest sam twórca pomysłu.

Ślusarszczyzna w domu niegdyś Kurowskiego, należy do najpiękniejszych w Warszawie; nie traci też na porównaniu z zabytkami podobnego rodzaju, w jakie obfitują stare miasta niemieckie. Postawić je można w jednym rzędzie z pracami Mikołaja Tetera, braciszka zakonnego, którego kazalnica w warszawskim kościele Ś. Krzyża, jest skończonem arcydziełem.

Ale najpiękniejszej ozdoby domu jużbyśmy na-



próżno na dawnym miejscu szukali. Były nią podwoje żelazne, zamykające wejście na schody. Te podwoje, wielkiej wartości pamiątkowej i artystycznej, nabył w r. 1852, hr. Aleksander Przeździecki i umieścił w bibliotece swej przy ulicy Senatorskiej.

Oto jak opisuje te drzwi jeden z dawniejszych historyków i estetyków naszych:

„Są one złożone z czterech części: samych drzwi, otoczenia, nadglowia i kraty do latarni— w stylu Augustów Sasów. Na nadglowiu, wśród arabesków z wązkich szyn, dziwnie pięknym rysunkiem połączonych, wyginanych i wykuwanych w liście, a wiązanych z fantazyą niepospolitą, stoją inicjały pobożnego ojców naszych powitania. L. J. Ch. (*Laudetur Jesus Christus*). Pod spodem rok 1737. Drzwi same ciekawsze jeszcze: każda połowa na trzy podzielona części: górną, środkową i dolną, a każda część w inne ozdobiona wzory. Stanowią one kratę gęstą, silną, której rysunek artysty dał jakąś dziwną lekkość. Prawdziwa to koronka z żelaza, nie delikatną modelisty i formierza odrobiona dłonią, ale silną ślusarską wykutą ręką. Na jednej z tych części stoi nie nazwisko artysty, bo tego tytułu ów rzemieślnik dobił się swym młotem, lecz właściciela: Mathias Kurowski. Nie widać tam najmniejszych śladów pilnika; młot tylko nadawał twar demu kruszcowi te kształty fantastyczne i łączył biegle w ogniu rozmaite części całości”.

Przy końcu XVIII-go wieku, posiada tę kamienicę „urodzony” Gniewczyński; potem ona jest własnością Wydorowskiej, a wreszcie przechodzi do rodziny Holców, w których rękę dotąd pozostaje.



W dawniejszych latach, podczas uroczystości Bożego Ciała, jeden z ołtarzy urządany był stale przy kamienicy Holca. W czasie procesyi, umieszczona na zewnętrznym ganku kapela wygrywała pieśni nabożne.

### № 36 (52).

Od wielkiej głowy murzyńskiej, nad wejściem umieszczonej, ten dom nazywa się: „pod Murzynkiem“. Dotąd jeszcze ludność staromiejska tem prastarem oznacza go mianem.

Zkąd się owo godło egzotyczne wzięło? Który z dwóch najdawniejszych właścicieli: Gianotti czy też Ginter kamienicę niem przystroił?

Mogło ono być symbolem kupiectwa, które z odległemi narodami utrzymuje stosunki, mogło też stanowić przypomnienie Wenecyi, w której najazdy Maurów dotąd trwały ślad pozostawiły. W pierwszym razie przypiszemy je Juljuszowi Ginterowi, który współcześnie z Fukierami handel win prowadził; w drugim uczynimy twórcą jego któregoś z Gianottich. Ci ostatni, jak niemal wszyscy osiedli w Warszawie Włosi, byli bezwątpienia wenecyanami.

Juljusz Ginter, wymieniony w najdawniejszej taryfie jako właściciel domu, cieszył się uznaniem współobywateli, skoro obrany został przez nich burmistrzem. W epoce wojny szwedzkiej pełnił obowiązki rajcy, a jednocześnie kupczył winem. W rachunkach z owego czasu (r. 1656) zapisano między

innemi: „Panu Ginterowi, za dwie beczki wina po kolendzie dla pp. oberszterów florenów 300; temuż dla pp. oficerów wina garney  $8\frac{1}{2}$ —fl. 25 gr. 15; temuż za 4 garnce dla p. generała fl. 12; p. Ginterowi na wydatek króla szwedzkiego fl. 100; temuż za beczkę wina dla p. Wittenberga fl. 200”.

Ginter posiadał nadto tytuł — dość szczerze zresztą szafowany—sekretarza królewskiego. Przyznał mu ten tytuł Jan Kazimierz, potwierdził jego następcą.

Julusz Ginter, umarł w r. 1673. U ś-go Jana ma kamień nagrobny z następującym napisem.

*D. O. M.*

*Nobilis ac consultinimus Dominus*

*Julius Ginther,*

*Serenissimorum Casimiri et Michaelis Poloniae Regium*

*Secretarius, Civitatis*

*Varsoviensis Proconsul.*

*Vixit Deo et proximo*

*summis mediis carus, de infimis optime meritus, vivere*

*desiit omnium desiderio*

*maerore luctu.*

*In aeternitate victuro, Deus reddat gloriam*

*quam promisit ipsi solliciti meruit*

*precantum omnes.*

*Obiit anno MDCLXXIII. die XIX Septem.*

*aetatis suae LV.*

*Maesta cum Sobole Conjux hoc*

*monumentum posuere.*

Jarzembski, który w swym „Gościńcu“ hojnie obdziela pochwałami mieszczańskie rody warszawskie, nie o Ginterach nie wspomina. Jest to szczególnież zastanawiający. U Jarzembskiego wymienieni

są: Gizowie, Baryczkowie, Busserowie, Strubiczowie, Drewnowie, Czersey, Dzianotowie; Kiedrowscy, Wolscy i Kociszewscy, a więc obok patryciatu i rody pomniejszych. Zkąd niełaska na współczesnego sobie kupca, obywatela, sekretarza królewskiego i członka magistratury?

W „Rewizyi Gospód“ zapisano ten dom na „Posłów cudzoziemskich“. Był to wypadek wyjątkowy, posłowie bowiem stawali zwykle w kamienicy „pod Fortuną“ (№ 22/59). Zaznaczono to w samej Rewizyi dopisując: „ekstra ordynaryjnie“.

Późniejsze dzieje kamienicy mało już przedstawiają szczegółów ciekawych.

Przy końcu wieku XVIII-go posiada ją sławetny Jędrzejowicz, następnie jakiś Francuz Jean Martin; później przechodzi kolejno do Löbiusa, Lutostańskiego, Skarzyńskiego i t. d.

W początkach tego wieku mieściła się tu drukarnia Lutostańskiego, który ją nabył po Jabłońskim. W roku 1830, drukarnia ta przeszła na własność J. A. Ryllego. Z tej ostatniej wyszedł pomiędzy innymi poemat bezimienny p. t. „Legjonista powracający w r. 1815“.

#### № 34 (53).

Nie obfituje ten dom we wspomnienia ani historyczne, ani anegdotyczne.

W wieku XVII-tym posiadają go kolejno: Szlichtyng, Erhardt i wdowa po ostatnim. Później przechodzi na własność Kleinpoldta.

Ta długa posesya składała się jakby z dwóch



oddzielnych domów, z których jeden miał czoło od Rynku, drugi od Krzywego Kola. Najdawniejsza taryfa rozróżniała te dwa domy, nazywając pierwszy „Erchardowskim“, a o drugim mówiąc: „Szlichtyngowski, pani Erchardowej“.

Szlichtyng Jakób był w roku 1609 ławnikiem Starej Warszawy; w roku zaś 1623 występuje jako rajca i podskarbi.

Erchardów nazwiska w magistraturze warszawskiej nie zapisano.

W drugiej połowie XVII-go wieku, właścicielem jest Kleinpoldt—zapewne ten sam, którego w roku 1637 spotykamy na liście rajców.

Stawał w tej kamienicy gospodą arcybiskup lwowski, oddawano zaś na jego użytek: „izby 3, izdebek 2, z komnatami dwiema, sklepów 2, piwnic 2, kuchni 2 i (co zawsze było w Rynku Staromiejskim osobliwością)—stajenkę“.

Nazwiska późniejszych właścicieli: Lignau, Godziejewska, Maszkowski i t. d. niczem już do nas nie przemawiają.

Zewnątrzność tej kamienicy, w dzisiejszym przynajmniej stanie, mało posiada typowości. Zwraca tu jednak uwagę na wysokości czwartego piętra wielka, całą szerokość domu zajmująca wnęka, w której zagłębieniu znajduje się duże weneckie okno.

Jak we wszystkich prawie kamienicach staromiejskich, tak i w tej, częściowo oszklony dach oświeca z góry wąską i mroczną klatkę schodową.



## № 32 (54).

Znany nam już z dawniejszych opisów, a nad furta umieszczony herb „Baryczka” mówi odrazu—czyja ręka tę piękną kamienicę wzniosła. Posiada ona zresztą rodowód swój i pierwszych posiadaczy swych wypisany złotem na marmurze i na czole domu umieszczony.

Dowiadujemy się z tego rodowodu, że dom został zbudowany przez Wojciecha Baryczkę i jego małżonkę Bonę Marianównę, w r. 1633. Jest to zatem kamienica jedna z młodszych w Starem Mieście, i stanąć musiała na gruzach innej, którą wzniesiono po wielkim pożarze w r. 1431. Wówczas Rynek zabudowany był przeważnie domami drewnianymi, które co do jednego spłonęły, co wywołało rozkaz, zabraniający wznoszenia *intra muros* wszelkich budowli z drzewa.

Ponieważ prócz daty erekeynej, wspomniana tablica podaje sporo faktów, odnoszących się do genealogii patrycjatu warszawskiego, przeto przepisujemy ją tu w całości.

*Aeternae Dei Opt. Max. gloriae.  
 Parenni patriae ornamento suo amicorum  
 posteritatisque usui Albertus Baryczka  
 cum Bona Marianowna conjuge  
 magnorum et potentissimorum divae  
 memoriale Sigismundi III et Vladislai IV  
 Poloniae et Sueciae Regum.*

*Primum a culinae post a Stabulis fidissimus  
 Quaestor expensis consul Varsoviensis in vetustissimo  
 hac Stanislai Baryczka Consulis et Hedwigis Kulsha  
 parentem Bartholomei Archiscabini et Christinae*

*Fukierówna avorum Georgii proconsulis et Hedwigis.  
Baltolorówne proavorum Petri et Annae Sereniss.  
Ducum Masoviae aulae familiarum abavorum  
atque avorum suorum praedulci solo molem  
hanc quam cernis a fundamentis erexit;  
Anno a Christo nato MDCXXXIII.  
Custodiat Dominus Intulareque Sancti.*

W starych aktach ta kamienica nazwana jest „Przechodnią“. W istocie, podobnie jak poprzednia, rozciąga się od Rynku aż do Krzywego Koła i posiada kilka dziedzińców, które ongi dawać musiały wolne przejście z jednej strony na drugą.

I w taryfie z czasu najazdu Szwedów i w „Rewizji“ z 1669 zapisany jest Stanisław Baryczka „Owiesny Jego Królewskiej Mości“. Ten Stanisław był synem Wojciecha. Owiesnym nazywał się urzędnik do wydawania obroków na dworze królewskim. Za Zygmunta III-go był nim Massalski.

Z pomnika w kaplicy Pana Jezusa u Ś-go Jana dowiadujemy się, że Wojciech Baryczka zmarł w r. 1643, w 66 roku życia. Do rodowodu Baryczków jeszcze jeden dorzucamy szczegół. Przed kilkunastu laty, na wązkim, trawą zarosłym placu, leżącym pomiędzy katedrą a kościołem po-Pijarskim, znajdowały się potłuczone tablice nagrobne, wyjęte zapewne ze ścian wewnętrznych katedry przy jej przebudowie około 1840 r. Na jednym z tych kamieni odczytaliśmy nazwisko Albertus Bariczka oraz rok 1678. Reszta napisu była zatarta.

W budowie tej kamienicy znać już styl *odrodzenia*, który dziwnie późno w te strony zawitał. *Wszystkie komnaty* obszerne i jasne; sień prześlicz-

na, przestronna, polyskiem marmurów niegdyś rozwidniona.

Za Augusta II-go kamienica Baryczkowska przechodzi na własność Minasowicza, bogatego kupca z rodziny ormiańskiej, protoplasty dwóch zdolnych poetów. Około roku 1730 był on rajcą magistratu Starej Warszawy.

W roku 1731 przemieszkiwał tu Büllau poseł księcia kurlandzkiego.

Za Stanisława Augusta mieściła się w tym domu „fabryka uprzywilejowana” Cadra, w której wyrabiano (może wykończano tylko?) skóry. Współczesne świadectwa stwierdzają, że ta fabryka wysyłała wyroby swe zagranicę, słynęła zaś z wyrabiania najprzedniejszych skór zwanych „bukaty“, których używano na buty „woskowane“. Należał do niej młyn wodny do mielenia kory dębowej, wystawiony na Wiśle, wprost klasztoru Panien Wizytek, „za pozwoleniem Komisji Skarbowej“.

O późniejszych właścicielach: Goździejewskiej, Reginie Jakobzonowej i t. d., nie mamy do powiedzenia.

### № 30 (55).

Ten dom i kamienica „pod Murzynkiem“ są najwyższymi w opisywanym szeregu; należą też do najwyższych w całym Starem Mieście. Proste i nieugięte podnoszą wyniosłe czoła ku niebu, podobne do legendowych olbrzymów, którzy mieli zaludnić ziemię przed wiekami. Każdy z tych domów ma na dachu przystawkę, która wygląda zdala, niby



domek oddzielny. I ta kamienica należała do Baryczków. W początkach XVII-go wieku posiadał ją Mateusz Baryczka; później była w ręku jego sukcesorów, a w roku 1669 występuje jako jej właściciel, Korycki, szafarz królewski.

Błędnie twierdzi ksiądz Kurowski, że ta kamienica wystawiona dopiero w roku 1680, o czem ma świadczyć umieszczony na niej napis. Napisu nie znam, bo już go dziś odczytać trudno, istnieją wszakże dowody, stwierdzające jej istnienie na kilkadziesiąt lat przedtem. Przy napisie erekcyjnym znajdować się miały, podług księdza Kurowskiego, słowa:

*Per signum Crucis, salva nos Deus.*

Mateusz Baryczka należał do mniej wydatnych i wcale nie głośnych członków zasłużonej rodziny. Głośniejszy był imiennik jego, o stulecie całe wcześniej żyjący. O tym drugim Mateuszu Baryczce zapisano w erekcji księży Mansjonarzy (r. 1490), że był szczególniejszym dobrodziejem kaplicy „Trzech Króli“ w kościele S. Jana. Na utrzymanie tych duchownych poczynił znaczne zapisy na swych podmiejskich folwarkach.

Dodajemy przy sposobności, że wspomniana kaplica, w której znajdowały się rodzinne groby Baryczków, już nie istnieje.

Stawał w tej kamienicy gospodarą biskup krakowski. Znajdowała się tam wówczas, „stajenka na cztery konie“.

*Z licznych ozdób, które przystrajały przed*



wiekami domy staromiejskie, a które ręka wyrodných i ciemnych potomków zdarła lub zniszczyła, ocalały na tej kamienicy cenne medalionowe płytki z holenderskiej majoliki. Temi płytkami wyłożony jest gżems pierwszego piętra, oraz przyozdobiona cała przystawka na dachu. Zdaleka wyglądają owe ozdoby, jak sznury pereł.

W liczbie ostatnich właścicieli, spotykamy nazwiska Serocińskiego, Guzowskiego, Szymańskiej i t. d. Obecnie posiadają tę kamienicę sukcesorowie kupca Wilczana.

#### № 28 (56).

Ostatni z domów w opisywanym szeregu pięknie go zamyka i jest malowniczym odpowiednikiem do rozpoczynającej go kamienicy. Dwa te narożniki, jeden od ulicy Gołębiej drugi od Krzywego Koła, ujmują ten bok Rynku jakby w artystyczną, stylową ramę. Najpiękniejszą ozdobą tej kamienicy, która ją na pierwszy rzut oka z pomiędzy innych wyróżnia, są umieszczone na szczycie figury świętych. To idealne znamię religijności w dawnych jedynie wiekach siedzibom ludzkim nadawano. Dziś je przystrajają w nimfy i bachantki, w symbole handlu i przemysłu, w pokradzione wszystkim wiekom i wszystkim stylom, a najfatalniej z duchem epoki klóćące się, ornamenta.

W domach, których strzegli kamienni święci, częściej z pewnością słyszało się hymn nabożny, niż pieśni światowe. I życie płynęło tam zbożnie,

uroczyście, mając w sobie coś z pochodu procesjonalnego ze świecą w ręce i krzyżem na piersiach.

Trzy figury wieńczą tę narożną kamienicę: Najświętsza Panna, mająca po prawej ręce Ś. Stanisława z Piotrowinem, po lewej Ś. Elżbietę.

Gruby błąd popełniają dawniejsi historycy Warszawy, przypisując wystawienie tego domu, a więc i figur szczyt jego zdobiących, potomkowi szkockich emigrantów: Czamerowi. Ów Czamer przyszedł na świat w połowie XVII-go wieku, mógł być przeto budować domy dopiero w końcowych jego latach. Następnie, niema żadnej łączności pomiędzy wyborem świętych a osobą Czamera (Aleksandra) i jego najbliższych. Wreszcie, co najważniejsze, na samej kamienicy znajduje się wyraźna wskazówka, dotycząca i daty erekcyjnej i osoby obywatela, który tym pięknym domem Rynek przyozdobił.

Na wysokości 3-go piętra, tuż pod figurą Matki Boskiej, znajduje się tam herb z cyfrą S. F. i rokiem 1642. Otóż ten herb i ta cyfra należały do Stanisława Falkiewicza vel Falkowicza, rajcy i szafarza Starej Warszawy. Oddając domostwo swe pod opiekę Najświętszej Panny, pobożny mieszczanin umieścił po jednej stronie swego patrona, a po drugiej, jak domyślać się można, żony swej patronkę.

Do Aleksandra Czamera należał dom już później, przy końcu XVII-go stulecia. Ten Czamer był *synem* emigranta szkockiego, który wraz z innymi *współziomkami* i *współwyznawcami* opuścił kraj

rodzinny, uchodząc przed prześladowaniem religijnem.

Ci Szkoci, co w drugiej połowie XVI-go wieku do nas przybyli, nie byli w ojczyźnie swej prześladowani „za swoje wyznanie reformowane“, jak utrzymuje Sobieszczański (to twierdzenie jest w niezgodzie z przypisywanem Czamerowi wystawieniem figury Matki Boskiej), lecz przeciwnie, jako katolicy trzymający z Maryą Stuart i Gwizjuszami, cierpieli prześladowanie ze strony protestantki Elżbiety. Zresztą, katolicyzm Czamera stwierdza dostatecznie okoliczność, że pochowany został u Ś. Jana.

Garść emigrantów szkockich, która, po opuszczeniu ojczyzny szukała gościnności w naszym kraju, zwróciła się przedewszystkiem do Prus Polskich. Prusacy nieufnem okiem patrzyli na przybyszów, a gdy dostrzegli, że ich umiejętność kupiecka i zbiegliwość wytwarzają niebezpieczne dla ludności miejscowej współzawodnictwo, wyprosili ich od siebie. Szkoci udali się wówczas na Litwę i na Mazowsze.

Rozproszeni na całej Rzeczypospolitej, z trudnością wywalczali sobie prawo obywatelstwa, które równało się dla nich prawu istnienia. Pracowali wyłącznie w dziedzinie przemysłu i handlu, a gdy, podjąwszy się za Stefana Batorego dostaw dla wojska, dobrze to zadanie spełnili, król począł spoglądać na nich łaskawem okiem. Odtąd znikała stopniowo nieufność do przybyszów, tak odmiennych pod każdym względem od ludności krajowej, i niebawem zespolili się oni całkowicie z organizmem



Rzeczypospolitej, otrzymawszy wolność prowadzenia handlu na całym jej obszarze.

Najprężniejszą wszakże okazała się dla Szkotów Warszawa. Znaczna ich liczba osiadła tu po przeniesieniu stolicy z Krakowa, ożywiając handel miejscowy i zaprowadzając nowe gałęzie przemysłu. Ściśle zespoleni pomiędzy sobą, posiadając kierowników inteligentnych i energicznych, dość długo tworzyli odrębną kolonję, której głową był właśnie Czamer.

Za Zygmunta III-go, kupecy szkoccy posiadali w samym Ratuszu osiem sklepów z towarami „szkockimi“; w piwnicach zaś pod Ratuszem utrzymywali winiarnie i piwiarnie. Wyrabiane i sprzedawane przez nich sukna należały do najpiękniejszych i najbardziej poszukiwanych.

Oprócz tego, szkoci trudnili się handlem drobnym, bądź to zasiadając przy straganach w Rynku („na trzecich“, jak wówczas mówiono i pisano), lub też roznosząc pomniejszy towar w koszach po całym mieście.

W „Perygrynacyi“ Krzysztofa Radziwiłła, pisanej około 1584 r. (przekład Wargockiego, Kraków 1607) czytamy taką o tem wzmiankę: „Siła ich (Drużjanów) do Damaszku y Trypolu przychodzi, a jako naszy Szkotowie na opałce drobne rzeczy rozmaite dla sprzedania noszą po ulicach, tak oni na szyi skrzynkę jakąś skórzaną miewają, w niej kilka cynowych kubków, flaszek kilka skórzanych, zimnej wody pełnych, dwa albo trzy grzebienie, szezotkę szatną y zwierciadło chowają“.

*Ale i tu współzawodnictwo żywiła miejscowe-*

go nie pozostawiło ich w spokoju. Zawistni kupcy prześladowali ich na różne sposoby; kilkakrotnie przemysłiwano nawet o wymówieniu im gościnności. Na szczęście, można opieką Aleksandra Czamera, który uzyskał nobilitację i doszedł do najwyższych w magistraturze warszawskiej godności, usuwała za każdym razem grożące im niebezpieczeństwo.

Szkoci mieli u nas wrogów pomiędzy współzawodnikami, ale mieli też i sędziów surowych, którzy im gorzkich słów prawdy nie żalowali. Jak każdy żywioł napływowy, posiadać musieli i oni pewne właściwości, interesom krajowców sprzeciwiające się, a więc przez nich potępiane.

Wojciech Gostkowski, mało znany ekonomista, a zarazem złośliwy malarz obyczajów za Zygmunta III-go, w rzadkiej broszurze p. t. „Detectio accessy skarbu Króla J. Mości i Rzeczypospolitej” (bez miejsca i roku) tak pisze o szkotach:

„*Szotowie i ich fortele.*—U tego narodu jest prawo takie, że primo genitus zostaje się przy dobrach ojezystych i macierzyńskich, a ilekolwiek się po nim urodzi braci, ci gdy przyjdą do lat, mają być od niego exdotali i na woli ich jest: albo w państwie swym zostać, albo też na peregrynacją iść i nabywać bogactw. Ci to ludzie nie mają sposobniejszego państwa, jako nasze Królestwo Polskie. A gdy się w którymkolwiek mieście wzbogaci i do pieniędzy przyjdzie, drugiemu Szkotowi onę majątność przeda, sam jedzie do Szkocyi. Rozumie tedy wiele ludzi, żeby przychodniowie, którzy obyczaje insze mają, a polskiemu ich odmienić nie chcą, sami się z sobą żenią, wiary różnej są, sekreta korony polskiej

do Turek i do innych państw wynoszą, prowenta celne i Rzeczpospolitą oszukują, ludzie narodu polskiego niszczą, handle im i kupiectwa z ręką i pożywienia wydzierają — bando na nie wydać, z Polski wygnać, bona ich konfiskować, bo to wszystko zbiór z Polaków i w Polsce. Żaden nie nie przyniósł do Polski, ani na koniu przyjechał, ani się wozem przywiózł; słuszną też, aby tam gdzie gardło nabrał, tam je zostawił“.

Zwykły to objaw samolubstwa plemiennego, czy też plemiennej samozachowawczości, które zawsze umieją upozorować swą polityczno-społeczną drapieżność.

Mówiąc o szkotach w Polsce, zapisać trzeba szczegół, mało dotąd znany, że w liczbie ich znajdował się niejaki Jerzy Leirmont vel Lermount, człowiek rzemiosła wojennego. Przybył on do Warszawy w początkach XVII go wieku; następnie udał się do Moskwy, dokąd powołał go car Michał Teodorowicz do formowania pułków jazdy. Ten Lermount był pradziadem wielkiego poety rosyjskiego, Lermontowa.

Aleksander Czamer, przechodząc kolejno wszystkie stopnie magistrackie, był w r. 1691 burmistrzem Starej Warszawy. Po skończonej kadencji, nie przedstawiał pracować dla dobra miasta na skromniejszym stanowisku ławnika, na którym spotykamy go w ostatnim roku jego życia. Wcześniej zaś nieco, mianowicie w r. 1697, był rajcą magistratu, oraz prowizorem szpitala 8-go Ducha (*consul et provisor hospitalis ad ecclesiam Sancti Spiritus*).

Umarł Czamer w roku 1703, licząc lat 58. Ma



u Ś. Jana tablicę, prywatne i publiczne jego cnoty wychwalającą i przechwalającą. Ten nagrobny panegiryk, technący od początku do końca fałszywym patosem i przepeluniony stylową akrobatyką XVIII-go wieku, przytaczamy tu w całości, jako ciekawy w swoim rodzaju dokument:

*D. O. M.*

*Exiguus hic cinis magnus est  
Alexander Czamer*

*Roseo Anglorum Sanguine nobilissimus,  
extra Patriam, Ecclesiam, Matrem professus,  
quam inter Patrias Rosas erubuerat,  
in corde Poloniae, cum ad cor rodiisset  
semper civis cordium  
bis cordialis Themidi legum Advocatus  
quater Proconsul cordatissimus  
id est caput et cor civium Varsaviensium  
extitit.*

*In consiliis non tam Angelus quam Angelus,  
magni Consilii in executione decretorum  
Fabius sed non cunctator.*

*In solvendis Judiciorum nodis Gordiis  
item, et alter Alexander.*

*Privilegiorum Civilium, Altare privilegiatum,  
legum anima, et lex animata.*

*Libertatum Urbis a servitute Liberator.*

*Fundorum antiquorum novus Fundator.*

*Ad coronaria Serenissimi Augusti II. Comitia*

*Legatus non jam a latere, sed a corde Regni,*

*Secretarii titulum novum accepit,*

*pridem sub Rosa Patria natus ad Arcam,*

*tandem post gloriosissima Acta*

*egit animam.*

*Die 9. Martii A. Chr. 1703 aetatis 58.*

*Sed illatam sibi non illi a morte injuriam*

*vetis aeternaturis inscripturi*

*cum*

*Proconsuli filio Wilhelmo  
Posterius scribunt in marmore laesi.*

Po śmierci Czamera, kolonja szkocka straciła swą łączność i odrębność. Jedni ze Szkotów, zubożawszy się, powrócili do kraju ojców swych, czemu dziwić się trudno; inni wsiąkli nieznacznie w grunt miejscowy i nawet pamięć o swem pochodzeniu zatracili.

W najdawniejszych taryfach pisano o tej kamienicy: „Falkiewicza, rajcy, z domem Mińskich”. Łączone były tym sposobem w jedno dwie posesje, stykające się ze sobą tyłami: jedna od strony Rynku, druga od Krzywego Koła. Na tej samej zasadzie, druga z tych posesji nazywana była „Falkiewiczowską”. Co się tyczy Mińskiego, to znaleźliśmy ślad, że on był za Zygmunta Augusta (r. 1566) gminnym Starej Warszawy.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego wieku opisywana kamienica należała do Withofów. Później była własnością Mieszkowskiej i Romanowskiego; obecnie jest w posiadaniu Myśliborskiego.

Okolo roku 1840 mieściła się tu gospoda kuśnierska.

#### D. Bok Wschodni.

(Pomiędzy Celną i Kamiennymi Schodkami).

Ten bok nie odznacza się wielką archaicznością; nie posiada ani jednego domu, którego metryka byłaby starsza nad początek wieku XVII-go. Tu najbardziej srożył się wielki pożar w roku 1607. *Prawie cała strona padła wówczas pastwą ognia*

Dziś jest to najruchliwszy z boków Rynku, co przypisać trzeba głównie licznym sklepom; za lat dawnych musiało być inaczej. Ongi, największe ożywienie panowało na stronie przeciwległej, tam bowiem znajdował się główny wchód do Ratusza, oraz przybytek ważniejszych posiedzeń magistrackich, zwany „Kamienią Wójtowską“. Tam wreszcie mieściły się najliczniej uczęszczane winiarnie.

Jeżeli coś w owej epoce mogło bok wschodni bardziej ożywiać, to chyba tylko bliskość tak zwanej „kuny“, która znajdowała się wprost kamienicy „pod Fortuną“. Przypominamy, że kuna była klatką żelazną, przejrzystą, do jednego z boków Ratusza przylegającą, w której zamykano oddzielnego rodzaju przestępców i przestępczynie.

Tłumniejsze fale ludzi płynęły podówczas po obu stronach boku wschodniego, tam mianowicie, gdzie on stykał się z dzisiejszą Celną i Kamienicami Schodkami. Były to w dawnych wiekach bezimiennie zaułki, albo raczej przesmyki, prowadzące do bram miejskich: pierwszy do bramy czyli baszty Białej, drugi do bramy Wiślanej.

Tyły tego boku zakrywał wysoki mur miejski. Z czasem, gdy *Antiqua Varsovia* po szwedzkich, fatalnych dla niej najazdach, przestała być warownią, w tym murze, prócz wróbli i jaskółek, poczęli budować sobie gniazda i ludzie. Z przybudówek, powiększanych następnie do rozmiaru zwykłych kamienic, powstała z czasem jedna połać dzisiejszej ulicy Brzozowej.

Wschodni bok Rynku był nazywany w starożytności „stroną prawą“.



## Nr. 26. (57).

Rozpoczynająca ten bok kamienica narożna, dziś wszelkiego prawie charakteru pozbawiona, stanowi właściwie połączenie dwóch posesyi, które w wieku XVII wyraźnie rozdzielano, nazywając jedną z nich „Walterowską“, a drugą „Orłowską“. Z czasem obie kamienice przeszły na własność Waltera, i w taryfach z końca XVII-go wieku pod jego wyłącznie nazwiskiem są zapisywane.

Wspomnieć jeszcze trzeba, że jedna z kamienic była pierwotnie własnością „pani Katerliney“, jak z nazwiska wnosić można, Włoszki, albo wdowy po Włochu.

W magistraturze Starej Warszawy znaleźliśmy Jerzego Orłowskiego, ławnika, oraz Kacpra Waltera, rajcę.

W domu narożnym stawał gospodą biskup Lucki, mając do swego rozporządzenia: dwie izby, dwa sklepy, dwie piwnice i jedną kuchnię. W przyległej kamienicy bywała gospoda biskupa Chełmskiego, któremu oddano pięć izb, jeden sklep, dwie piwnice i dwie kuchnie.

W roku 1784, w którym wyszła pierwsza drukowana taryfa Warszawy, oba domy zapisane są pod jednym numerem, jako własność „sławetnego“ Preysa. Później posiadają te posesye: Collen, Mściwojewski, Zaszczyński.

## Nr. 24 (58).

Busser, a potem Ziebowicz, czy też Zienkiewicz, (gdyż dwojako źródła ówczesne to nazwisko

piszą), posiadają tę kamienicę w początkach XVII wieku. I o mężach tych i o posesyi wiadomości nasze są nader szczupłe.

Niczem szczególnem nie odznacza się ta kamienica zewnątrz i wewnątrz; znać też na niej i w niej późniejsze przeróbki.

W porze sejmu miał tu gospodę biskup Przemyski. W „Rewizyi“ zapisano: „izb cztery, sklep jeden, piwnic trzy, stajenkę, oraz kramnicę na przodku“.

Za Stanisława Augusta rozslawia się ta kamienica po świecie, dzięki mieszczącej się tu drukarni Dufoura. Dufour tytułował siebie: „konsyliarzem nadwornym, drukarzem JKMości, Rzeczypospolitej i Rady Nieustającej, dyrektorem korpusu kadetów“. W Rynku, oprócz drukarni, miał księgarnię, będącą zapewne składem jego wydawnictw, był bowiem i nakładcą. O losach tej drukarni pisze Magier w swej, częściowo dotąd drukowanej, „Estetyce miasta Warszawy“: „Piotr Dufour, konsyliarz nadworny, dyrektor drukarni Korpusu Kadetów, miał własną drukarnię w Rynku Starego Miasta pod Nr. 58. Po nim Tomasz Lebrun w niej drukował. Później dostała się przez związek małżeński z wdową Lebrun Lesznowskiemu, redaktorowi Gazety Warszawskiej, dotychczas, (to jest do czasów Magiera) utrzymywanej przy ulicy Świętojerskiej“.

Do notatki Magiera dodajmy kilka dopełnień i sprostowań.

Dufour miał tu drukarnię, (a zarazem i księgarnię) tylko do roku 1784. Ze zmianą właściciela, zmieniło się i pomieszczenie; tegoż samego zaś roku,

w tymże domu, a może i w temże mieszkaniu, otworzył drukarnię kto inny.

Nowym założycielem drukarni nie był drukarz zawodowy, lecz przedsiębiorca, nie z drukarstwem właściwym i z literaturą nie mający wspólnego. Był to Włoch, Baccigalupi, założyciel „loteryi liczbowej” w Warszawie, który początkowo wybijał u siebie tylko bilety i tabele loteryjne. Z tego względu drukarnia jego nosiła miano „Loteryjnej”.

Ze starannie opracowanej broszurki p. Żegoty Wywialkowskiego pod tytułem: „Czcionkarnie, istniejące w dzielnicach ziem polskich” (Kraków — Warszawa, 1884), dowiadujemy się, że część drukarni Baccigalupiego została sprzedana w roku 1792 księdzu Malinowskiemu, który z niej oddzielny zakład drukarski utworzył. Ta nowa drukarnia w roku 1799 przeszła na własność Wyzewskiego, którego potomek, przedzierzgnąwszy się w literata francuskiego i Francuza, podpisuje się: „de Wyzewa”. Od Wyzewskiego nabył drukarnię Józef Unger, który ją świetnie rozwinął, drukując prócz wielu dzieł ważnych „Tygodnik Ilustrowany”, „Wędrowca”, oraz swoje popularne ilustrowane kalendarze. Po śmierci ojca, urzymywał ją w dawnej świetności Gracyan Unger. Dziś podupadła.

Wracając do drukarni Loteryjnej, zapiszmy, że z czasem odbijać zaczęła coś więcej, niż plany i bilety. Tem „czemś więcej” nie były zresztą rzeczy bardzo wielkie, bo tylko „Kalendarze astronomiczno-gospodarskie polskie y ruskie”. Wychodziły one około roku 1820 nakładem Józefa Pukszty



przy ulicy Świętojańskiej, „przeciw Fary”, z „Drukarni Baccigalupiego w Rynku S. M. Nr. 58”.

Signor Baccigalupi-Menagetto, bo tak w całości brzmiało jego nazwisko, pozostawił syna, z którego córką ożenił się Jan Wróblewski. Drukarnia przeszła na własność tego ostatniego w roku 1834, i pozostawała w jego ręku od roku 1844, w którym nabył ją Jan Jaworski.

Aby skończyć z osobistością Baccigalupiego, zapiszmy szczegół, który w roku 1892 podały wychodzące w Krakowie „Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne”. Na zamieszczonej w tem piśmie reprodukcji kredkowego rysunku Aleksandra Orłowskiego, przedstawiającego artystę w gronie przyjaciół warszawskich, występuje w liczbie tych ostatnich i Baccigalupi. Wygląda on tam na podżyłego jegomościa z cudzoziemskim profilem, który w sposób trochę rażący odbija od młodocianych przeważnie twarzy towarzyszków. Pod każdym z portretów, które są szkicowo rysowanemi w profilu popiersiami, umieścił Orłowski emblemata, wyrażające rodzaj zajęcia każdego z portretowanych. Pod wizerunkiem Baccigalupiego widzimy: ćwiartkę papieru z niewyraźnym napisem, przedstawiającą zapewne bilet loteryjny.

Rysunek pochodzi z samego końca zeszłego wieku, gdy Orłowski liczył niewiele więcej, nad lat dwadzieścia. Wiadomo jak wesoło, mimo żywo odczuwanych klęsk publicznych, upłynęła młodość znakomitego artysty; nie trudno też zgadnąć, że najbliższe jego otoczenie było hulaszczą, przeważnie z żywiołów artystycznych złożoną, kompanią.

do której drogą pośrednią tylko [mógł dostać się przedsiębiorca loteryjny. Innymi uczestnikami wesołego grona byli: Krystyan Karoli zegarmistrz-artysta; Karoll Gröll, syn głośnego „bibliopoli“ Stanisława Augusta, rysownik, rytownik, miniaturzysta, mechanik i wynalazca; Manerelli, Włoch, nauczyciel śpiewu i gry na gitarze; Bartłomiej Folino, kapitan artylerji, nauczyciel szkoły wojskowej, a przytem rysownik i rytownik; Kazimierz Wojniakowski, utalentowany malarz; wreszcie Itar, Włoch z urodzenia, budowniczy.

Kamienicę, którą opisujemy, posiadał w zeszłym stuleciu „sławetny“ Derussi; potem znajdowała się w rękach Bielewicza, Brauna i t. d.

#### Nr. 22 (59).

Oglądając archaiczną sień tego domu, oraz niewielki, a nadzwyczaj oryginalny dziedzińczyk, przypuszczać trzeba jedno z dwojga: albo płomień strasznego pożaru w roku 1607 ocaliły tę kamienicę, opaliwszy tylko zewnętrzne jej mury, albo też po pożarze odbudowano ją w kształcie pierwotnym.

Cokolwiekbądź, ona nosi w środku wyraźne znamiona wieku XV i przypomina wnętrza najstarszych domów krakowskich. Pismo obrazkowe „Wieniec“, wychodzące w roku 1872, zamieściło jej widok wewnętrzny, rysowany przez Henryka Pillatiego, wraz z notatką Weinerta, który wzniesienia domu *nie waha się odnieść do pierwszej połowy wieku XV go.*

Niegdyś czoło tej kamienicy zdobił rzeźbiony, czy też malowany wizerunek Fortuny, z tego też powodu nazywano ją przez czas długi domem „pod Fortuną”. Prawdopodobnie, podczas pożaru owo godło spłonęło, gdyż po roku 1607, żadnego po nim śladu, prócz nazwy, już się nie spotyka.

W „Rewizyi Gospód“ z połowy XVII wieku zapisano: „Kamienica Dzianotowska nowa“. Nie wiemy, jak sobie tłómaczyć to ostatnie słowo, зда-je się jednak, że ono nie znaczy nic więcej, jak: „odnowiona“.

Włoska Rodzina Gianottich, osiadła w Warszawie za Jagiellonów, przyjęła tutejsze obywatelstwo i pisała się z polską: Dzianoty, albo Dzianot. W kronice Starej Warszawy zasłynęli głośniej: Jan, Jakób i Piotr Dzianotowie.

Jakób Dzianoty, albo raczej, jak na kamieniu nagrobnym czytamy: *Jacobus de Castellatis Gianotti*, pozyskał szlachectwo od cesarza niemieckiego, Ferdynanda III. Był dworzaninem królów polskich: Zygmunta III i jego syna, Władysława. Od ostatniego otrzymał indygenat.

Ten Dzianoty piastował przez czas długi godność burmistrza Starej Warszawy, a za położone dla miasta i dworu zasługi otrzymał w r. 1635-ym libertacyę swej kamienicy. Libertacya, potwierdzona później przez Jana Kazimierza, nie była jednak zupełną, gdyż kamienicę Dzianotowską przeznaczono na czasowe mieszkanie dla posłów zagranicznych.

Posłowie stawali tu aż do czasów Augusta III. Dodać wszakże trzeba, że mieli inną jeszcze go-



spodę przy ulicy Długiej, w kamienicy, zwanej „Gielda.“

Mówi o tem Jarzembski:

...Stój co żywo!

Przeciwno, „Gielda,“ nazwany,  
Jest budynek murowany,  
Kędy posłowie stawali,  
Cudzoziemscy przebywali.

„Gielda“, nazywana zwykle „kupiecką“ i będąca zarazem miejscem zbornem kupców miejscowych i przyjezdnych, znajdowała się obok kościoła Św. Ducha, gdzie dziś dom pod numerem hipotecznym 540. Prócz wielkich izb gościnnych, mieściły się w niej obszerne składy towarów, z zagranicy przywożonych. Podczas najazdu szwedzkiego „Gielda kupiecka“ spłonęła. Dom odbudowano później, zachowując dawne, grube mury; gospody jednak: poselska i kupiecka już w niej mieścić się przestały. Nawiasowo dodajemy, że dopiero w połowie wieku XVIII-go kupiectwo warszawskie wznowiło swe zebrania, które odbywały się w jednej z izb ratuszowych. Potem (w roku 1817) otwarto giełdę w pałacu saskim, skąd przeniosła się najpierw do Marywilu, następnie do Banku polskiego, aż wreszcie znalazła pomieszczenie w bylej „Ujeżdźalni“ (niegdyś teatrze dworskim Augusta III) przy ulicy Królewskiej.

Wracając do Jakóba Dzianotego, zapiszmy, że został pochowany wraz z żoną, Weroniką, w grobach katedralnych i że posiada piękny pomnik w kaplicy Najświętszego Sakramentu. Umieszczony na płycie marmurowej napis, przytacza Starowolski

w „Monumentach“. Na pomniku znajdują się portrety obojga małżonków.

Wzmiankowany w aktach Starej Warszawy, pomiędzy rokiem 1644 a 1650, Jan Dziaoth (tak), ławnik magistratu, jest niezawodnie tąż samą osobą, co i Jakób Dziaoty, późniejszy burmistrz. Mała odmiana w imieniu mogła być omyłką; mógł też zacny ten obywatel nosić dwa imiona.

Utwierdza nas w tem przekonaniu okoliczność, że w ciekawych rachunkach Krzysztofa Arciszewskiego, królowi, czy też magistratowi warszawskiemu składanych, spotykamy kilkakrotnie wymianego Jana Dziaota, jako właściciela kamienicy w Rynku. Z tych rachunków dowiadujemy się dwóch rzeczy: że w domu Dziaota znajdowało się zameczyste, warowne schowanie i że sam Dziaot cieszył się wielkiem u współobywateli zachowaniem, skoro powierzano mu do przechowania pieniądze publiczne.

Z zapisek „starszego nad armatą koronną,“ przytaczamy miejsca odnośne, jako ważne do charakterystyki stosunków ówczesnych.

...*R. 1648, 11 Junii.* Panu Janowi Dziaotowi, od sklepu jego w Rynku, w którym się pieniądze Rzpltej dla warunku lepszego chowaią, od św. Jana *anni* 1546 do drugiego św. Jana *anni* 1648, dało się naimu roczny złotych 150“.

...*R. 1648, 1 Julii.* Panu Janowi Dziaotowi, od sklepu warownego w Rynku, w którym się pieniądze nowe *quarty* chowały, od św. Jana Chrzciciela 1647 do drugiego św. Jana Chrzciciela 1647 zapłaciłem naiem roczny złotych półtorasta.

Hausknechtowi P. Dziańotowemu, żeby oko miał na drzwi u sklepu, na buty złotych trzy."

We wspomnianej wyżej „Rewizyi Góspód“ zapisano w kamienicy Dziańotówskiej: izb 8, oprócz „kownat“ i alkierzów; sklepów 3, piwnic 3, kuchni 4. Dodano też: „Ta kamienica na posłów cudzoziemskich *ex antiquo*“.

Gdy po raz pierwszy numerowano domy warszawskie, dokonywając zarazem „lustracyi“ każdej posessyi, ta kamienica, opatrzona wówczas numerem hipotecznym 59, posiadała: od strony Rynku Staromiejskiego sklep jeden, okien czołowych 9, po trzy na każdym z trzech pięter, szerokość zaś jej wynosiła łokci koronnych 11. Taż posessya, od strony ulicy Brzozowej, miała tylko jedno piętro o dwóch oknach, szeroka zaś była na łokci 13. Te szczegóły podaje rękopiśmienna taryfa z roku 1784 (nie trzeba jej łączyć z taryfą drukowaną z tegoż roku, „do składki na koszary — jak tytuł opiewa—ułożoną i perceptą, z kwitami zgodną okazującą“).

Część posessyi od ulicy Brzozowej została wybudowana znacznie później, niż kamienica rynkowa. Nastąpiło to w początkach XVIII-go wieku, gdy miasto, uważając dalszą konserwację starego muru obronnego za rzecz niepotrzebną, pozwalało przerabiać go na domy mieszkalne. Z tego muru właśnie powstała owa kamieniczka — jak cała zresztą tamta połąć ulicy Brzozowej.

Każdego, kto ogląda dziś tyły dawnej kamienicy Dziańotówskiej, zadziwia niezwykła ich postać. Można by sądzić, że to szczątki twierdzy, dziwnym zbiegiem



okolicości na siedzibę ludzką przetworzone. Pozory mylą. W przeszłości owych przybudówek nie ma nic wojowniczego; one noszą na sobie po prostu ślady niefortunnych pokuszeń spekulacyjnych.

W r. 1766 kamienica „pod Fortuną“ została własnością słynnego lekarza warszawskiego, Jana Chrzeciela Czempińskiego.

Czempińskim wystawia pochlebne świadectwo J. Bartoszewisz w „Kościołach warszawskich“. Piśze, że ta rodzina za Stanisława Augusta i wcześniej należała do najzasłużeńszych w stolicy, a zwłaszcza w obrębie Starego Miasta. Wzmiankuje zarazem o szczególnem nabożeństwie, jakie mieli do kościoła księży Augustyanów. Wreszcie o jednym Czempińskim mówi, co następuje:

„Ambroży Tomasz Czempiński, metrykant skarbu koronnego, uczynił u Augustyanów zapis na mszę, mającą się odbywać o 12-ej w południe i otrzymał na nią dyspensę z Rzymu. Przeznaczył ją dla osób (głównie urzędników), zatrudnionych urzędowaniem w godzinach przedpołudniowych i ztąd narażonych na opuszczanie mszy świętej. W kaplicy Augustyanów, gdzie ta msza dotąd się odprawia i odprawiać będzie po wszystkie czasy, znajduje się popiersie dobroczyńcy z marmuru. Umarł Czempiński w 1768 roku”.

Ten fundator mszy wieczystej był właśnie ojcem Jana Chrzeciela, lekarza, a dziadem Pawła, doktora medycyny, wykształconego w Wiedniu.

Czempiński Paweł, urodzony w Warszawie i w Warszawie do śmierci przemieszkujący, pod niejednym względem dobrze się miastu i społeczeństwu



zasłużył. Biegły w teorii i praktyce lekarskiej, uprawiał również z zamiłowaniem nauki przyrodnicze. Napisał oryginalnie podręcznik szkolny pod tytułem „Zoologia, czyli zwierzętopismo dla szkół narodowych,” pomagał też Klukowi w pracy nad „Botaniką”; dla tychże szkół przeznaczoną.

Zebrawszy znaczny majątek, Czempiński nabył dwie pobliskie posesyie przy ulicach: Brzozowej i Gnojnjej (ówczesnej) numery hipoteczne 215 i 216. Posiadając obszerne place i znaczny kapitał, postanowił zabawić się w przemysłowca i w tyłach swej posesyi zaczął budować gorzelnię, dystylarnię, młyn zbożowy i t. p. Z winy budowniczych, czy też, powodu złej natury gruntu, fundamenty dużych gmachów obsuwały się, mury krzywiły, i po wielu niepomyślnych próbach i wyczerpaniu się kapitału całego, przedsięwzięcia zaniechać musiano.

Doktór Czempiński, ożeniony z Prowidencją Lafontaine'ówną, córką znakomitego również lekarza z czasów Stanisława Augusta, był rodzonym dziadkiem znakomitej autorki, Klementyny Hoffmannowej. Córka Czempińskiego została poślubiona Ignacemu Tańskiemu, miernemu poecie i sumiennemu urzędnikowi, i owocem tego właśnie małżeństwa była przyszła autorka „Krystyny.” Kamienica „pod Fortuną” szczyci się nawet tem, że głośna pisarka w jej murach, w roku 1798 światło dzienne ujrziała.

Nie było-by też rzeczą zbyteczną upamiętnić ten fakt umieszczeniem na czole domu odpowiedniej tablicy pamiątkowej.

*Życie domowe Czempińskich odznaczało się nastrojem serdecznym i artystycznym. Wieczorami*

zabawiano się tam muzyką, którą wszystkie dzieci doktora z powodzeniem uprawiały, oraz literacko-naukowemi pogadankami, na które, obok młodych aspirantów do wieńca wawrzynowego, uczęszczały najpoważniejsze znakomitości ówczesne.

Do najstalszych i najzażyłszych bywalców gościnnego domu Czempińskich, należał ksiądz Franciszek Bohomolec. Pod miłym wrażeniem stale doświadczonej gościnności, napisał ksiądz poeta dochowany w rękopisie wierszyk. Przytaczamy go, jako utwór dzielnego pisarza, oraz ciekawy przyczynek do kroniki Starego Miasta:

*Wieczory na Starem Mieście u konsyliarzystwa  
Czempińskich.*

Wdzięczne wieczory, rozkoszne me chwile  
Które w Czempińskich domu trawię mile,  
Jak słodkie dla mnie tam powaby macie!  
W tem złe, że nazbyt prędko upływacie.  
Przyjemna ludzkość, spokojność łagodna,  
Przezorna grzeczność, wesołość swobodna,  
Przystojne względy dla każdej osoby,  
Są tego domu szacowne ozdoby.  
Pan jego, skoro ze snu się obudzi,  
Bieży ratować nieszczęśliwych ludzi,  
A sama pani, przykład dobrych matek,  
Ma baczość na dom i na grono dziełek.  
Po dziennych trudach, gdy powraca zmrokiem,  
Dziateczki, miłym wzruszone widokiem,  
Niewinne rączki ku niemu ściągają,  
I sercem raczej, niż usty, witają.  
Chcąc potem ojca dobrego uciechzić,  
Poczynają się do muzyki śpieszyć;  
Ta klawicymbał, ta arfę porywa,  
Ów głosu z skrzypiec miłego dobywa.

Ozwą się zaraz zabawne piosneczki,  
 Wdzięczne aryjki, wesołe taneczki.  
 W tych wszystkich matka pierwsze trzyma czoło,  
 Dźwiękiem i pieniem dowodząc wesoło.  
 A skoro głosy ucichną muzyki,  
 Wnet bawić zaczyna roztropne żarciki,  
 Lub inne jakie rozrywki uczeziwe,  
 Wnosząc do serca wesele prawdziwe.  
 Wpółród milego tego zgromadzenia  
 Nikną me troski, nikną utrapienia,  
 A serce, dziennym kłopotem znudzone,  
 Znajduje sobie chwile ulubione.  
 O miły domie, którego ponęta  
 Osladza życia mojego momenta,  
 Twojej ludzkości jest to dar prawdziwy,  
 Że chociaż krótko, bywam w nim szczęśliwy.

Aż do roku 1822 zapisywany jest w taryfach,  
 jako właściciel kamienicy pod numerem 59, Czemi-  
 piński. Potem ona przechodzi do Jana Zawiszy.  
 Dokładną listę późniejszych posiadaczy wypisuje-  
 my z Weinerta. Po roku 1822, byli nimi kolejno:  
 Julia z Zawiszów Słomińska, Jan i Felicyanna ze  
 Styczyńskich Lindnerowie, Józefat Cybulski, Ale-  
 ksander Brujewicz, Kiwa i Cecylia Lebenthalowie,  
 Jan i Paulina Baumgartowie, Franciszek i Karolina  
 Dzwonkowscy, Gustaw Meizner. Obecnie jest wła-  
 snością Augusta Gebauera.

O tej kamienicy dwa jeszcze mamy do zanu-  
 towania szczegóły.

Około roku 1750 mieszkali tu słynni malarze:  
 Czechowicz Szymon i z siostrzenicą jego ożeniony  
 Smuglewicz Łukasz.

*W końcu XVIII stulecia ksiądz Bohomolec  
 zahipotekował na tym domu sumę, na cel dobro-*



czynny przeznaczoną, od której procenty wypłacane są dotąd „wstydzącemu się zebrać”.

### № 20 (60).

Po bogatym we wspomnienia domu poprzednim, ten wygląda dziwnie jałowo i beztreściwie. Przy rozpatrywaniu jego przeszłości, nie udało mi się zebrać żadnego prawie materiału historycznego i kronikarskiego; zmuszony jestem nawet pozostawić komu innemu rozwiązanie zagadki, jaką przedstawia znajdujący się nad furta, a mocno już zatarty herb, przedstawiający, jak się zdaje, rogi jelenie z zębata nad niemi koroną.

Lustracya z czasu wojen szwedzkich nazywa ten dom „Balcerowskim”. Ta nazwa nasuwa ponownie wątpliwość, jaką poruszałem już, opisując jedną z kamienic przy ulicy Nowomiejskiej (№ 3/178), mianowicie: czy „Balcer” (Baltazar) jest tu nazwiskiem, czy też użytym zamiast nazwiska—imieniem? Patryarchalność, panująca wśród ówczesnego mieszczaństwa warszawskiego, które tworzyło jakby jedną rodzinę, czyni możliwem ostatnie przypuszczenie.

Przypuszczeniu temu większe jeszcze prawdopodobieństwo nadaje „Rewizya Gospód”, gdzie o domu tym napisano: „Kamienica *ante* Balcerowey Giziny”. To już wyraźna wskazówka, że dom należał poprzednio nie do jakiegoś Balcera o niewiadomem imieniu, lecz do Balcera, czyli Baltazara Gizy.

„Rewizya” wymienia w tym domu: izb 11, piwnic 3, sklepów 2, kuchen 3.

Przy końcu XVIII i w początkach XIX wieku posiada opisywaną kamienicę jakiś „sławetny” Kur-

ke. Późniejszymi właścicielami są: Ptaszyński Kazimierz, Dorantowicz Paweł i Wilezan.

Dziś ją posiadają sukcesorowie tego ostatniego.

### № 18 (51).

Kronika tego domu zaznajał nam z nową rodziną obywateli staromiejskich: z Orlemusami, a właścicielami Horlemesami.

Jakby dla dopełnienia różnorodności plemiennej patrycyatu warszawskiego, pochodzenie tej rodziny było holenderskie. Horlemesowie prawdopodobnie przybyli do Warszawy razem z osadnikami, którzy zajęli i uprawiali dziką naówczas kępę „Kawczą“ na Wiśle. (Kępa, nazywana z tego powodu przez czas długi „Olendrami“, za Augusta II otrzymała dzisiejszą nazwę „Saskiej“).

W aktach Starej Warszawy z nazwiskiem Horlemesów spotykamy się po raz pierwszy w r. 1624. Horlemes, szafarz miejski, podczas panującej wówczas zarazy morowej, z polecenia Magistratu, wystawia na „Kępie Polkowskiej“ (wprost Zamku, dziś już nieistniejącej) siedem budynków drewnianych dla dotkniętych zarazą.

Ten Horlemes zmarł w roku 1641 jako rajca magistratu. Ma w kościele katedralnym św. Jana pomnik, z portretem na blasze, wystawiony przez żonę, Barbarę Gizanę.

Napis na pomniku następujący:

*D. O. M.*

*Joannem Horlemes Varsaviensem Civem  
artis hic opificio expressum vides,*

*qualem virtus expresserat  
 videre non potest.  
 Bono Patriae natus  
 ad extremum vitae diem continuatis  
 Magistratibus  
 eidem laudatissime praefuit,  
 et eximia morum probitate praefulsit,  
 Post consulatus plures summa cum omnium  
 Ordinum approbatione gesto  
 singularium Suffragio meritorum aeternis  
 Coeli  
 Consulibus adnumerandus  
 obiit  
 Anno Domini MDCXLI die XII Augusti.  
 Barbara Gizanka Uxor marito suavissimo  
 N. N. N. Filii Parenti optimo  
 p. p.*

W roku 1672 Augustyn „Orlemus“ jest wój-  
 tem (*advocatus*) Starej Warszawy. Gdy w tym ro-  
 ku powstaje pierwsza w Warszawie komisya do kon-  
 troli nad mieszkaniami i meldunkami mieszkańców,  
 należy on do tak zwanych kwatremistrzów, czuwa-  
 jących nad tą czynnością.

Horlemesowie posiadają ten dom przez cały  
 wiek XVII-ty.

Znajdująca się na czole domu tablica jest  
 świadectwem libertacyi. Libertacya nastąpiło póź-  
 no, gdyż dopiero w roku 1736.

Napis całkowity brzmi:

*Constitutione anni 1736,  
 fol. 109 tit. gratitud;  
 ab ex-officio  
 liberata  
 et*



*ab oneribus civilibus  
in perpetuum vindicata.*

W drugiej połowie XVII wieku dom „Orlemowski“ był własnością i mieszkaniem Piusa Kicińskiego, dobrego i zasłużonego obywatela. Nowy posiadacz z gruntu posesyę swą odświeżył i uczynił jedną z najporządniejszych w Rynku.

Zasługi Kicińskiego dla miasta i dla kraju są zbyt wielkie, abyśmy mogli ominąć sposobność przypomnienia ich ziomkom. Dziś prąd życia społecznego, choć ani głęboki, ani obfity, jest tak szumny po waryacku prędki, że nie daje czasu oglądać się nawet za ludźmi doby wczorajszej.

O Piusie Kicińskim, oprócz luźnych, encyklopedycznych notatek, posiadamy obszerniejsze artykuły w „Przyjacielu Ludu“ (r. 1840, Nr 19), z podpisem S., w „Cmentarzu Powązkowskim“ K. Wł. Wójcickiego (tom II, str. 188), oraz na czele „Poezyi“ Brunona Kicińskiego, jego syna.

Najwięcej światła na postać dzielnego patrioty, a zarazem i na całą współczesną mu epokę, rzuciłyby pozostawione przezeń pamiętniki, dotąd wszakże nikt nie zajął się ich wydaniem, i nie wiemy nawet, gdzie się w obecnej chwili rękopis ich znajduje.

Bruno Kiciński, założyciel „Kuryera Warszawskiego“, utalentowany poeta i dziennikarz, jeden z pierwszych u nas, po dzisiejszemu się wyrażając, publicystów, uczcił pamięć ojca ciepłym wspomnieniem pozgonnem, do którego dołączył jego portret, oraz wybór dyletańskich, lecz nieraz szczęśliwych, prób poetyckich.

Portret przedstawia dorodnego, w średnich latach mężczyznę, w kontuszu, z wielką wstęgą orderu świętego Stanisława na piersiach. Ten portret w zupełności usprawiedliwia, co o ojcu napisał syn:

Świetna powaga czoło zdołała,  
Wzrok męski w czarnej źrenicy tlał,  
Ale na ustach słodycz tak miła,  
Uśmiech tak łube siedlisko miał,  
Iż mnie się zawsze myśl ta marzyła,  
Że uśmiech matki Bóg dobry dał  
Ojcu, dla tego, aby w tęsknocie  
Po matki stracie ulżyć sierocie.

Pius Kiciński (syn Michała i Franciszki z Rylskich) w historii kraju zapisał się tem głównie, że energicznie i skutecznie zwalczał *liberum veto*.

Urodzony na wsi, stał się później prawie zupełnym mieszczaninem, gdy, oddany na dwór Stanisława Augusta, otrzymał tytuł sekretarza królewskiego, a z czasem został „szefem“ królewskiej kancelaryi. Te zajęcia zmuszały go do przemieszkiwania w stolicy; one też pewnie sprawiły, że zapisał się do szeregów mieszczaństwa warszawskiego.

Dwukrotnie posłował na sejm, jako przedstawiciel ziemi Czerskiej i Liwskiej; a podczas sejmu czteroletniego otrzymał od króla kasztelanję Połaniecką.

Niedługo cieszył się tytułem kasztelana; okoliczności jednak sprawiły, że go zamienił na tytuł hrabiego. Tym ostatnim obdarzył go cesarz austriacki, Franciszek, pod którego berło i protektorat schronił się po roku 1794. Władca Austrii w ten

sposób wytępiął w Galicyi nienawistne sobie tytuły kasztelanów i wojewodów, że pozwalał kupować za nie dziewięcioperłowe korony.

Powróciwszy, ze zmianą stosunków politycznych, do kraju, Pius Kiciński nie pysznił się swem młodem hrabiostwem, które ogół dość ironicznie traktował; syn już wszakże nie zaniedbał tytułu tego na zawsze z nazwiskiem swem połączyć.

W r. 1817, po wskrzeszeniu Królestwa, były sekretarz Stanisława-Augusta powołany został, na przedstawienie senatu, na senatora kanclerza; pełnił też obowiązki sędziego najwyższego.

Umarł w Warszawie, w 1828, mając lat 77, i pochowany został na cmentarzu Powązkowskim.

Autor życiorysu jego w „Przyjacielu Ludu” tak o nim pisze:

„Zasługi Piusa Kicińskiego w krótkich zavrzemy słowach. Będąc posłem, stał się jednym z pierwszych powodów do zniszczenia *liberum veto*, a gdyby cała jego działalność ześrodkowała się jedynie w naprawieniu tego, co Siciński (poseł Upicki), zepsuł, już byłoby dlań dość prawa do zostania w dziejach naszych. Jednak nie tu się kończą jego zasługi. Ulepszył on wiele form w obradach i ustawach; będąc przy boku Stanisława-Augusta, odprowadzał go nieraz od słabych czynów, którymi się ten król plamił..”

W „Małej Encyklopedyi polskiej“ (Leszno i Gniezno 1841) zapisano następujący fakt z działalności politycznej Piusa Kicińskiego, dokładnie wyrażający jego przekonania i dążenia:

...„Godne jest uwagi, że w ciągu swej mowy



(na sesyi sejmowej 27 stycznia 1792 r.), Kiciński, jakby przyszłości widokiem natchniony, nalega na sejm, aby z winowajczymi magnatami, jakąkolwiek wziętość posiadają w narodzie, tak postąpiono, jak z mniej ważnymi obywatelami, naprzykład z generałem Kościuszką (!), gdyby (czego nie dopuszcza) ten czeigoday mąż miał być kiedykolwiek przestępnym prawom i ojczyźnie. Wskutku owych przemówień, ukarani zostali Potocki i Rzewuski utratą urzędów; władzę zaś hetmańską na zawsze zniesiono.<sup>7</sup>

Wspomnieliśmy o poetyckich próbach Piusa Kicińskiego. Pragnąc w tym szkicu dotknąć choć pobieżnie wszystkich stron jego różnorodnej działalności, powtarzamy przytoczony przez Wójcickiego wierszyk p. t. „Myśl na cmentarzu.”

Pod tym glazem—pan śpi razem  
I poddany;  
Bo już w grobie—równe sobie  
Wszystkie stany.  
Więc przechodniu—pomyśl o dniu  
Zgonu twego;  
Wynijdź z błędu—i bez względu  
Czej bliźniego.  
Nędznych wspieraj—lzy ocieraj  
Wszystkich braci.  
Gdy cię z niemi—złożą w ziemi—  
Bóg zapłaci!

Prosty to wierszyk, ale pocziwy, zacny, duszę szlachetną ujawniający.

Poza osobą Piusa Kicińskiego, nie już kamienicy, o której mówimy, nie uświetnia.

W roku 1784 posiada ją „szlachetna“ Andrychowiczowa; potem przechodzi kolejno do rąk Biało-brzeskich, Solnickich. Około 1845 r. jest własnością p. Jana Gautiera, na polu dobroczynności publicznej znanego, który odstępuje ją Waleryanowi Grabowskiemu. Dziś należy do J. Maya.

### № 16 (62).

W taryfie z r. 1832, wydanej przez J. Glücksberga znajdują się dwa numery 62, odróżnione literami *a* i *b*. Pierwszy numer posiada całe czolo od strony Rynku, drugi od ulicy Brzozowej. № 62 *a* jest własnością Łucyi Dalewskiej, № 62 *b* — Antoniego Kobyleckiego.

Ten rozdział, jak się zdaje, nastąpił w bliższej już nam epoce. Dawniejsze lustracye i rewizye nie o nim nie wspominają.

Najdawniejszym ze znanych nam posiadaczów tej kamienicy jest Tomasz Kociszowski. Pod rokiem 1609 spotykamy tego Kociszowskiego na liście „Koła Ławniczego“ Starej Warszawy; w lat kilkanaście później, jest rajcą. Na wyższe urzędy nigdy Kociszowski nie wynoszono, i wogóle w kronice staromiejskiej nieznaczną oni odegrali rolę. Mimo to wymienia ich Jarzembski pomiędzy przedniejszymi rodami mieszczzańskimi.

W drugiej połowie XVII wieku posiada kamienicę Morykoni. Znajduje się w niej wówczas, według „Rewizyi Gospód“ — izb 8, sklepów 3, piwnic 3, kuchen 3. Stawał tu gospodą Referendarz *koronny świecki*.

Taryfy drukowane, poczynając od r. 1784, z wyjątkiem wspomnianej taryfy Glücksberga, nie rozróżniają dwóch posesyj, jednym numerem oznaczonych, zaznaczają wszakże dwoistość tę w inny sposób, mianowicie: wymieniając dwóch oddzielnych posiadaczy. I tak: w r. 1784 wymienieni są: Dalewski i Greber; w 1797 — ciż sami (zamiast Greber—Greiber); w 1807—Dalewicz (tak) i Chruszczewicz, w 1817 r.—ciż sami;—w r. 1821—Dalewscy i Chruszczewicz; w r. 1844 występuje tylko jeden właściciel Franciszek Poliński, później, przy jednym właścicielu i jednym numerze, dopisywane są zwykle litery A B.

Ze wspomnień potocznych, do tego domu przywiązanych, to chyba jedno zanotować można, że około r. 1830 mieszkał w nim Gugenmus Antoni, słynny zegarmistrz, z którego pracowni wyszły najlepsze zegary wieżowe, jakie dotąd Warszawa posiada.

Był on synem Franciszka Gugenmusa, również słynnego zegarmistrza, o którym zajmujące szczegóły opowiada Wójcicki w dziele: „Warszawa, jej życie umysłowe i t. d. w ciąglat 30 (1800—1830).” Ten Gugenmus wyrabiał głównie małe zegarki kieszonkowe, a że był dostawcą dworu Stanisława-Augusta, umieszczał zwykle na tarczy zegarkowej napis: François Gugenmus Horloger du Roi.” Zegarki te cieszyły się wielkiem powodzeniem, a dziś poszukiwane są przez zbieraczy starożytności.

„Była to osobistość oryginalna i wydatna — opowiada o Gugenmusie Wójcicki. Chodził dzień cały po ulicach Warszawy, zawsze jednakowo ubra-



ny, w surducie granatowym, krojem staroświeckim, w spodniach czarnych lub ciemnych, krótkich po kolana, w pończochach białych jedwabnych i trzewikach z dużymi srebrnymi sprzążkami. Na głowie, której nigdy nie nakrywał, peruka upudrowana, wypomadowana, ufryzowana w duże loki, z harbajtlem z tyłu. Kapelusik mały, składany (*chapeaubas*) pod pachą lub w ręce, kończył ubiór, którego nigdy nie zmieniał, latem czy zimą, w dzień pogodny lub deszcz i największe błoto.

Tan Gugenmus był „chodzącą gazetą,” i otrzymując w licznych listach, odbieranych z zagranicy najświeższe wiadomości polityczne, roznosił je po całej Warszawie.

Pisze Wójcicki, że mieszkał Gugenmus na ulicy Świętojańskiej „we własnym domu pod Nr. 27,” i w tem myli się, dom ten bowiem był zawsze własnością księży Seminarzystów.

W każdym razie Gugenmusowie, jako wierne, choć przybrane dzieci Starej Warszawy, nigdy się za obręb jej murów nie wyprowadzali.

#### № 14 (63).

Wyjątkowo ubogą w fakty jest kronika tej, niezem nie odznaczającej się, kamienicy.

Prócz nazwiska, nic nie wiemy o jej pierwszym, z początków XVII-go wieku, właścicielu. Był nim jakiś Kupeczewicz, człek i nazywający się dziwnie i dziwną tajemniczością przed potomnymi okryty.

*Domyslać się tylko możemy, że był spokre-*

wniony z rodziną Strubicza, burmistrza i obywatela Starej Warszawy, i że po jego śmierci, kamienica do rodziny tej przeszła, czy też tylko powróciła. Ten domysł opieramy na wspomnianej tu wielokrotnie „Rewizyi Gospód,” w której o tym domu napisano: „Kamienica Kupczewiczowa, *ad praesens* sukcesorów Strubicza.“

Stawał w tej kamienicy wojewoda Łęczycki; była też w porze sejmowej „na dwór JKMości,” to znaczy na pomieszczenie zwiększonej liczby dworzan królewskich zabierana.

Liczono w niej: izdeb 7, sklepów 2, piwnic 3, kuchen 2, kramnicę jedną.

„Szlachetny” Łyszkiewicz, Fontana, Kraszewski czy też Kruszewski, Czerwiński—oto kolejni posiadacze tej mało ciekawej posesyi w wieku XVIII i XIX.

## № 12 (64)

Co za jedni byli Czersey, którzy w początkach wieku XVII-go tą kamienicą władali, a może ją nawet w dzisiejszym jej kształcie wnieśli?

Na to pytanie nie możemy, niestety, dać wyczerpującej odpowiedzi. Cała nasza znajomość rodziny Czerskich ogranicza się na fakcie, że w roku 1621 Jan Czerski pełnił obowiązki ławnika Starej Warszawy oraz na ogólnikowej wzmiance Jarzembskiego, który, wymieniwszy zasługi Gizów, Strubiczów, Drewnów, mówi:

Czersey dobrzy między niemi,  
Godni równo siadać z niemi.

W drugiej połowie tegoż wieku znikają Czercy nawet z liczby posesyonatów staromiejskich, a kamienica, o której mówimy, przechodzi na własność Kociszowskiego, zapewne tegoż samego, co posiadał i pobliską (pod nr. 62) posesyę.

Okolo r. 1670 jako właścicielka domu występuje „pani Kociszowska.”

Stawał tu gospodą biskup płocki. W kamienicy liczono podówczas izb 8, sklepów 3, piwnic 3, kuchen 2.

Przez przeciąg stu lat blisko, to jest od połowy XVIII-go do połowy XIX wieku dom pod nr. 64 był własnością Archikonfraterni Literackiej.

Bractwo, nie z literaturą nie mające wspólnego, nabywało tę posesyę częściowo przez cały szereg lat, mianowicie od r. 1736 do 1796. Możliwość kupowania nieruchomości zawdzięczało hojnym ofiarom swych członków, w ostatnich latach stulecia poprzedniego czynionym. Odznaczali się pod tym względem „bracia”: Sroczyński, Soczawski, Bogdanowicz i Wysoczyński.

Dochody majątku stałego archikonfraterni były przeznaczone na wspieranie członków niezamożnych lub chorych, nabożeństwa za zmarłych i utrzymanie w świetności kaplic bractwa.

Archikonfraternia posiadała kilka posesyj, wszystkie jednak w roku 1856-ym sprzedała, „aby połączywszy kapitały z funduszami powstałemi ze składek, obmyśleć stały środek, który-by pozwolił wypełniać nowe obowiązki i cele, jakie sobie bractwo w umowie przepisało.”



Jakoż już w taryfie z r. 1859 dom pod nr. 64 zapisany jest jako własność prywatna.

Przy sposobności kilka słów o samem bractwie.

Archikonfraternie, czyli arcybractwa „literackie,” były rozpowszechnione nie tylko na Mazowszu, lecz również w Wielkopolsce i innych prowincjach Rzeczypospolitej. Odróżniały się od innych bractw tem, że koniecznym warunkiem przyjęcia do nich była umiejętność czytania po polsku, a podobno i po łacinie. Tylko „rozumiejący pismo“ byli do bractw literackich dopuszczani.

Warszawska Archikonfraternia Literacka została założona w 1540 r. Nie mieściła się wówczas tam, gdzie obecnie, to jest przy kościele Św. Jana, lecz przy kościele i klasztorze Św. Jerzego, niegdyś przy ulicy Świętojerskiej istniejących.

W tym ostatnim kościele arcybractwo miało swą własną kaplicę, nazywaną kaplicą Św. Trójcy; samo też istniało w początkach pod wezwaniem Św. Trójcy, Narodzenia N. M. Panny i Św. Jakóba Apostoła.

Przeznaczeniem jednak było i Archikonfraterni Literackiej przenosić się często z miejsca na miejsce. Już w 1579 r., a więc w niecałe lat 40, widzimy ją przy kościele Św. Ducha, „za Bramą Nowomiejską”.

Tam, za czasów Władysława IV, odwiedza ją Jarzembski i zastawszy braci, niewiadomo czy na modlitwie, czy też na jakiejś żwawej brackiej dyspacie—mówi o nich ironicznie:

Wszedłem, aż tam literacy  
Krzyczą—rozumiałem: żacy...

I u Św. Ducha Archikonfraternia długo nie gości. W połowie XVII przenoszą się „literaci” najpierw do Św. Jana, następnie do Jezuitów, wreszcie na poprzednie miejsce wróciwszy, już na niem pozostają.

U Św. Jana czyli u Fary kapituła oddała arcybractwu oddzielną kaplicę. Kaplica ta, należąca kolejno do rodziny Wolskich i Kazanowskich i nosząca tytuł Św. Krzyża, była podówczas bardzo zrujnowana. Nowe bractwo doprowadziło ją swym kosztem do porządku, poczem odnowiona kaplica otrzymała tytuł Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi. Ten tytuł dotąd jej przysługuje, choć nazywana jest zwykle kaplicą Archikonfraterni Literackiej. Znajduje się po prawej stronie prezbiterium, a wejście do niej zamyka wielka, misterna krata żelazna.

Właściwie od tej daty dopiero bractwo literackie zaczęło się nazywać „Archikonfraternią”; w tej też dacie wzięło początek jego pamiątkowe Album, którego pierwszą kartę wypełniają podpisy własnoręczne Michała Korybuta i jego małżonki Eleonory. Na dalszych kartach podpisywali się kolejno *manu propria*: Jan III (z żoną i synami), August II, August III (z żoną), Stanisław-August, Fryderyk-August, książę Warszawski i t. d. Obok nich grupują się najpierw dostojnicy Rzeczypospolitej, od końca XVII w. począwszy.

Na ciekawym „liście brackim” czyli dyplomie Archikonfraterni, rysowanym w 1842 r. przez Józefa Głowackiego, znajduje się u góry wizerunek N. P. Maryi, a po bokach wizerunku postacie klęczące; z lewej strony: Sobieski, Poniatowski, Korybut i Au-

gust II; z prawej strony, dwie królowe (zdaje się Eleonora i Marya Kazimiera), oraz jakaś kobieta w habicie mniszki. U dołu czterej Ewangeliści, czytający i piszący.

Dawna kamienica Archikonfraterni Literackiej jest dziś własnością Olszewskich.

### Pr. 10 (65).

Dochowała się jeszcze na czole tego domu tablica pamiątkowa, ale już z epoki późniejszej. Napis jej, wbrew zwyczajowi, polski. Tem dziwniejszy to wyjątek, że właśnie w owym czasie jak najbardziej łacina się sztukowano.

Obywatel, który w początkach XVIII-go w. tę kamienicę nabył i po swojemu przerobił, ten fakt, ważny dla siebie, w tych słowach przekazuje potomności:

Bogu na cześć,  
najmilszym dziateczkom  
i sobie ku wygodzie,  
a miastu ku większej ozdobie.  
dnia 9 kwietnia 1709.

*A. B.*

Litery *A. B.*, znaczą: Andrzej Byczkowski.

O tym Byczkowskim zapisał Sobieszczański wiadomość, że, zamieszkawszy w swej posiadłości w trzydziestym roku życia, umarł po siedemdziesięciu latach przemieszkowania w niej, a zatem jako starzec stuletni.

Zasłużony historyk Warszawy przytacza ten



fakt na dowód, że warunki higieniczne Starego Miasta nie są tak złe, jak o tem sądzą powszechnie. Owszem, utrzymuje Sobieszczański, że „mimo nieprzyjaznych dla zdrowia warunków, mieszkańcy Rynku dochodzą lat sędziwych i nigdzie może nie spotyka się tylu starców, co w tej dzielnicy“.

To twierdzenie zadziwi z pewnością każdego higienistę, którego ciekawość, przypadek lub obowiązek zawiody kiedykolwiek do wnętrza staromiejskich domów, w ich stanie obecnym. Jak tam było przed wiekami, nie wiemy, przypuszczać jednak można, że było lepiej, choćby z przyczyny mniejszego zaludnienia miasta. Dziś, zatęchłe w wąskich sieniach powietrze; małe, do studzien głębokich podobne, podwórka; zaduch z odbywającego się na Rynku targu; wreszcie blizkie sąsiedztwo brudnego, pokładami odpadków miejskich podwyższonego Powiśla, czynią dzielnicę Staromiejską jedną z najmniejzdrowszych, a może najniezdrowszą w Warszawie.

Przed dwoma wiekami, dom opisywany był własnością Baryczków.

Posiadał go najpierw ksiądz Hyacynt (Jacek) Baryczka, o którym wspominaliśmy w obszernym rodowodzie tej rodziny; następnie Stanisław Baryczka „Owiesny“ królewski, o którym również była wzmianka. O księdzu Jacku dodajemy jeszcze kilka słów, zamieszczonych w opisie Warszawy z XVIII wieku:

„Znajduje się w Warszawie duchowne seminarium czyli *Studium theologicum generale*, którego przełożonych i nauczycieli biorą z różnych klasztorów, bez względu, lub mało zważając na za-

kon. Znajduje się w nim bardzo znaczna publiczna klasztorna biblioteka. Założył ją już przed połową przeszłego wieku O. Hyacynt Baryczka, znakomity, we wszystkich sztukach i naukach biegły, Dominikanin. Brat jego, Stanisław Baryczka, generalny komisarz wojenny za Jona Kazimierza, dopełnił ją i zaokrąglił“.

Jak widać z tej wzmianki, brat był tu spadkobiercą brata.

W drugiej połowie XVII-go w. liczono w tym domku: izb 5, sklepów 3, piwnie 3, kuchni 2, oraz jedną—stajenkę.

Po Byczkowskim był właścicielem Mateusz Szatkowski. Następnie posiadali ten dom: „szlachetny“ Ebert, a po nim Fryderyk Ulbrycht, fabrykant kadzidel. Obecnie, od wielu już lat, znajduje się w posiadaniu rodziny Holew.

### Nr 8. (66).

Kronika tego domu miałaby karty zupełnie puste, gdyby nie wyjątkowe stanowisko społeczne pierwszego ze znanych nam jej właścicieli.

Tego właściciela najdawniejsze źródła nazywają krótko: Jerzy, z dodatkiem „Muzyk“. W innych źródłach jest wskazana bliżej jego specjalność: „kornecista“.

Fakt, że na liście obywateli staromiejskich, wypełnionej prawie wyłącznie nazwiskami kupców, a niekiedy mężów, nauką odznaczających się (*viri literati*), znaleźć się mógł... grajek (wyraz „artysta“ nie miał jeszcze u nas wówczas prawa obywatel-

stwa) już sam przez się wyjątek od zasady okazuje.

Ów Jerzy był niezawodnie członkiem kapeli królewskiej i cudzoziemcem. Kapela Zygmunta III, liczna i dobrana, liczyła się do najlepszych w Europie, składali ją zaś sami cudzoziemcy, przeważnie Włosi. Jakiś więc Giorgio, człowiek niskiej „kondycyi“, bo się nawet z nazwiskiem jego nie liczone, protegowany pewnie przez marszałka, a może i przez samego króla, skoligacił się z mieszczanstwem warszawskiem, i wraz z ręką jakiejś nadobnej dziewczoi otrzymał nadobniejszą jeszcze kilkopiętrową posiadłość.

Aby z własnego majątku mógł ją nabyć, rzecz wielce wątpliwa. Wprawdzie muzycy królewscy pobierali po 200, 300 i 400 florenów rocznej gaży, prócz „barwy“, to jest dworskiego przystojnego przyodziewku, wszystko to jednak trwonili na wino i hulankę.

Ksiądz Siarczyński, pisząc o narzędziach muzycznych, używanych w epoce Zygmunta III, wymienia: regały, puzony, szorty, cytry, skrzypice, cymbały, organy, trąby, lutnie, surmy, fletnie, teorbany, bandury. O kornetach zamilcza. Dzięki sławnemu Jerzemu, wiemy, że ten ostatni instrument na pokojach królewskich, oraz pod sklepieniem kościoła Świętojańskiego rozbrzmiewał.

Rewizya gospód z roku 1669-go nie wskazuje kto w tym domu stawał; zapisano tam tylko, że *jest oddany do dyspozycyi marszałkowskiej*. Rewizya wymienia: izb 6, sklepów 3, piwnic 3, kuch-



nię jedną, komórek 2, izdebkę, oraz „salę na górze“.

Następcą fortunego korzecisty był Kotowicz, pisarz W. Ks. Litewskiego.

W przedostatniem i ostatniem stuleciu posiadali tę kamienicę: Przeborski, Tokarski, sukcesorowie ostatniego, wreszcie Zylbertrest.

### Plr 6 (67).

Najpierw Gizowie, potem Martensowie, wreszcie Wachnicowie byli kolejno posiadaczami tej kamienicy.

Przez pewien czas, przy końcu wieku XVI-go należała do Jezuitów litewskich, którzy posiadali równocześnie dwa domy w kierunku ulicy Celnej.

Ta kamienica, podobnie, jak wszystkie bok ten tworzące, została obrócona w perzynę przez wielki pożar w r. 1607. Po dźwignięciu z ruin, wmurowano w jej ścianę czołową tablicę z napisem, ten fakt upamiętniającym. Oto ten napis:

*Mille et sexcentos septem numeravimus annos,  
cum sub rorosa flamma domos rapuit,  
hoc fatum crudele; diu memorabil Regno,  
et nobis miseris civibus ignis erit.  
Sed quia dulce solum Patriae dulcis locus,  
in quo fata favent; dulcis pro Patria labor est.  
Vivat Sigismundus Rex Tertius, auspicio ejus  
Omne quod accepit restituit Dominus a fundamentis.*

*(Reformatum)*

A. D. M. D. C. X.

Zakończy ten napis zdanie osobliwe, w którym niewiadomo co upatrywać: brutalną manifestację

idealów kupieckich, czy też ironię. Zakończenie to brzmi:

*Multa vi et ingenio, sed citius pecunia  
comparantur omnia.*

Ktoś tę myśl spolszczając, zamknął ją w dwuwierszu:

Dzielność i rozum ludzki wiele zdziałać mogą,  
Ale pieniądź najkrótszą zawsze będzie drogą.

Ten napis, ironiczny czy też bezczelny, przez analogię sprzeczności przypomina niewiele wcześniejszą pieśń Kochanowskiego p. t. „Złoto wszystko zwycięża, jednak umiarkowanie bardziej niż bogactwo czyni człowieka szczęśliwym“.

Poeta ma inny na tę sprawę pogląd:

Wielkich pieniędzy wielka troska naśladuje,  
A im człowiek w pokładzie swoim więcej czuje,  
Tem jeszcze więcej pragnie. Słusznie moje oko  
I nigdy przedtem i dziś nie zmierza wysoko.

Czasu sejmów gospoda w tym domu była przeznaczona na Wielką Pieczęć.

Rewizya wymienia tu izb 8, sklepów 3, piwnic 2, stajnię 1 na 4 konie, kuchon 3 i komorę na drwa.

Ze wspomnień potocznych zapiszmy, że tu mieszkał i tu w 1822 umarł Gracyan Korwin, zapomniany redaktor zapomnianego pisma: „Izys Polska“.

W ciągu ostatnich stu lat posiadali ten dom *olejno*: Łukaszewicz, Skiwski i Kulewski.

## Nr. 4 (68).

Po obu stronach furty znajdują się tu jeszcze dawne „sklepy“, to jest piwnice z wejściem od ulicy, w których ongi sprzedawano wyłącznie: wino, miód i piwo.

Nad wejściem do każdej z piwniczek znajdowały się ryte w murze napisy. Jeden z nich zatarł się całkowicie; drugi z trudnością daje się odczytać, brzmi zaś, jak następuje:

*Vinum laectificat cor et acuit ingenium.*

W piwniczce, opatrzonej tym napisem, odbywa się dziś, jakby przez ironię, sprzedaż... śledzi.

Strubicz, burmistrz i obywatel Starej Warszawy, o którego namiętności do skupowania domów wyżej pisałem, był posiadaczem i tej kamienicy. Później posiadali ją: Tucholczyzna (wdowa) i Wengierowie.

W połowie wieku XVIII, doktor Czempiński, właściciel domu „pod Fortuną“, w rozwinięciu swych szerokich planów spekulacyjnych, nabył i tę nieruchomości. Pozostawała w jego rękach dość długo; sprzedana zaś została w chwili upadku jego wielkich a niepraktycznych przedsięwzięciach przemysłowych.

Nabywcą był Kuliński.

Nie posiadając libertacyi, podlegała ta kamienica ciężarowi gospód sejmowych. W 1669 przeznaczona była Pieczętarzowi Wielkiemu Koronnemu. Znajdowało się w niej: izb 7, sklepów 3, piwnic 2, stajnia na 4 konie, kuchen 3 i komora na drwa.



W drugiej połowie wieku XVIII mieściła się tu słynna w swoim czasie „pensya”, czyli szkoła męska Roberta, do której uczęszczał Antoni Magier, autor wielu dziełek z zakresu meteorologii, oraz ciekawych pamiątek p. t. „Estetyka miasta Warszawy.”

## Nr 2. (69).

Wyniosła, okazała kamienica, zamykająca wschodni bok Rynku, należy do najpiękniejszych i najlepiej dochowanych w Starem Mieście. Gotowiśmy przypuszczać, że płomienie z wyjątkową powściągliwością zachowywały się względem pierwszej w Koronie rezydeneyi jezuickiej, albo, co pewniejsza, że troskliwiej od innych była przed klęską broniona.

Cokolwiekbądź, w tej kamienicy można jeszcze odnaleźć zabytki, z których gdzieindziej i śladu nie zostało, jak naprzykład okna z szybami w ołów oprawnymi.

Twierdzą niektórzy, że ta kamienica była niegdyś własnością książąt Mazowieckich. Dowodów na to niema i, co do mnie, przypuszczam, że historycy łączą dom na rogu Celnej z domem na rogu Dunaja. Zachodzi zaś pomiędzy temi domami to podobieństwo, że obydwa posiadają wystające na ulicę, sklezione i oszklone ganki, zwane „łożami”.

Fantazyja niektórych pisarzy zachodzi tak daleko, że w owej „łoży” widzą modlącego się o rannej godzinie—Skargę...

Ta fantazyja posiada wszakże podkład realny. *Czy słynny kaznodzieja w oszklonym ganku odma-*

wiał modlitwy, niewiadomo; to jednak jest faktem, że w tej kamienicy mieszkał.

Jezuici mieli już liczne klasztory i kolegia w różnych stronach Rzeczypospolitej, Warszawa zaś widywała ich tylko przelotem. Sam nawet Skarga występował tu z kazaniami w charakterze gościa.

Ale autor „Zawstydzenia Aryanów“ zbyt bystre miał oko, aby nie dojrzeć, że ta ważna placówka domaga się obsadzenia. Szymierzowi słowa nie brakło energii i w czynach. W roku 1597 zebrawszy potrzebny fundusz z ofiar dobroczynnych, kupił dom narożny, który opisujemy.

Zaraz w roku następnym sprowadzili się do tego domu Jezuici litewscy. W mieście zaczęto nazywać tę rezydencję „Klasztorkiem“, i ta nazwa pozostała domowi przez czas długi po ustąpieniu Jezuitów.

W tymże samym czasie, na miejscu pobliskiem położył Skarga fundamenty pod kolegium, opanowawszy cały ten punkt, który stać się miał z czasem ulicą Jezuicką.

Niebawem, bo już w r. 1609, przystąpili Jezuici do budowy swego kościoła.

Budowa kolegium trwała z konieczności dość długo, Skarga zatem, któremu pilno było „zawojowywać dusze“ (złąd zwany *psychotyranos*), urządził w klasztorze tymczasowy konwikt dla młodzieży szlacheckiej.

Dalsze dzieje zakonu już do nas nie należą; co się zaś tycze dalszych dziejów Klasztorza, to one kończą się w zupełności w roku 1626, to jest w da-

cie ostatecznego ukończenia wszystkich gmachów Jezuickich.

Opuuszczoną przez Jezuitów kamienicę nabył Burbach v. Borumbach. Rodzina Burbachów była znaczna i w magistraturze, i w handlu Starej Warszawy. Jeden z nich był burmistrzem, inny na własnych okrętach towar zamorski sprowadzał.

Po Burbachach posiadają dom Jobsey, o których brak nam bliższych wiadomości.

Rewizya gospód wylicza w tej kamienicy: izb 8, sklepów 8, piwnic 4 z przegrodami, kuchen 3 i stajenkę na 4 konie. Gospoda w niej była przeznaczona na „Pieczęć Wielką“.

Z pomiędzy późniejszych właścicieli dawnego Klasztorka, godny zapisania Franciszek Barszcz. Był to wielki bogacz, a większy jeszcze skąpiec. Syn jego, jedynak, w rygorze chowany, gdy po śmierci ojca dorwał się do olbrzymiej fortuny, w krótkim czasie roztrwonil ją co do grosza i w nędzy zupełnej życia dokonał.

Później piękny ten dom posiadali: Kuśmierski, Świerczyński, Kureczyński.

We wspomnieniach o Starem Mieście, spisanych niegdyś na moją prośbę przez jednego z najstarszych jego mieszkańców, znajduję fakt, świadczący o patryarchalnych stosunkach, panujących w tamtej dzielnicy. Autor wspomnień, nie żyjący już dziś, a wówczas 80-cio letni, czerstwy i żwawy staruszek, August Miaskowski, b. wojskowy wojsk polskich, weteran o jednej ręce (drugą stracił pod *Ostrołęką*), w opisanym domu przemieszkał jednym ciągiem lat 55.



W 50 roku właściciel wyprawił wiernemu lokatorowi ucztę jubileuszową, na której zapewnił go ustnie i piśmiennie, że już do końca życia nie podwyższy mu komornego. Z tego przywileju korzystał nasz weteran jeszcze przez lat 5.

Z notatek ś. p. Miaskowskiego to jeszcze wypisuję, że w r. 1836, zajmując z ojcem swym pierwsze i drugie piętro, czyli ogółem 6 dużych pokoi, dwie kuchnie, z obszernymi piwnicami, drwalniami i t. d., płacił za nie rocznie 810 złp. Dziś mieszkania te, rozdzielone, przynoszą dochodu przeszło 600 rb. W tym samym stosunku powiększyła się i wartość domu. Około 1840 r., sprzedano go za 47,000 złp.; dziś wart jest tyleż rubli.

Ksiądz Kurowski przytacza z „Gazety Warszawskiej” (N<sup>o</sup> 17 z 1777 r.) wiadomość, że przybyły z zagranicy b. major wojsk austriackich, Franciszek Bertiolati, zajmwszy w tym domu odpowiednie mieszkanie, wykladał architekturę cywilną i wojсковą.

Dodajmy wreszcie, że bok tej wielkiej posiadłości od ulicy Celnej nosi na sobie ślad dotykającej niegdyś do niego bramy miejskiej, zwanej „Wiślanej”. Ta brama wznosiła się w połowie ulicy Celnej, opierając się o dwie przeciwległe kamienice. Rozrzucono ją w r. 1838.

---

## Nieznana broszura o Warszawie z wieku XVIII-go.

Sobieszczański, pierwszy gruntowny badacz Starej Warszawy, uprawiając niwę, dotąd przez nikogo prawie nietkniętą, nie dobył z niej wszystkiego, co dobyć było można; na ile wszakże wystarczyło życie i siły jednego człowieka tego w zupełności dokonał.

I dla tego, napotkawszy broszurę z zeszłego stulecia, nigdzie przez tego czujnego szperacza nie wspomnianą, mam prawo zaliczyć ją do „nieznanych”. Nie rzuca ona wprawdzie nowego światła na żaden ze stwierdzonych poprzednio faktów, dla samej już wszakże niepowседневnej formy swojej, a i dla tego także, iż skreślona jest przez cudzoziemca, na pilniejszą zasługuje uwagę.

Broszura, jakkolwiek wydana w Polsce, napisana została w języku francuskim. Tytuł jej całkowity brzmi:

*Varsovie vengée et son apologie, avec des reflexions morales, politiques et autres.*

Nazwiska autora niema na niej weale; miejsce zaś wydania oznaczono w sposób ogólnikowy: *en Pologne* (1742).

Jak wskazuje sam tytuł i jak szczegółowiej wyjaśnia przedmowa, ta praca podjęta została w celu odparcia i ukarania potwarzy, jakie rzucił na Warszawę i jej społeczność inny, również bezimien-ny autor, Francuz, czy też posługujący się francuszczyzną Niemiec, w broszurze zatytułowanej „*Varsovie ridicule*”.

Ostatnia była pamfletem politycznym i towarzyskim, trzymanym w tonie paszkwilowym, natchnionym prywatą.

Ów nieprzyjaciel Warszawy, jej mieszkańców i wogóle Polaków — jakiś Franzos, czy Sacher-Masoch XVIII-go wieku — zbyt czarno wszystko maluje, aby uwierzyć można było w szczerłość jego przekonań i sądów. Nazywa on Warszawę *ville sans conséquence*, twierdzi, że pozbawiona jest praw i obrony, porównywa ją w sposób złośliwy (?) do Rzymu i Paryża, a mieszkańców jej nazywa, szorstkimi, nieogładzonymi grubijaninami”.

W pesymistycznym zapędzie nie przebacza nawet... Wiśle, mianując ją hańbiąco „ściekiem i kałużą!”...

Przypuszczać można, iż zawód w jakiejś ambitnie wymarzonej karierze, stał się głównym powodem napełnienia goryczą tego lichego pisarka. Przeciwnik jego objaśnia, że przypisując swój pamflet jakiemuś magnatowi, liczył na jego łaskę, łaska owa



jednak ograniczyła się wyłącznie na tem, że magnat wręczył mu kwotę, wystarczającą na... natychmiastowy wyjazd z Warszawy i kraju. W każdym razie ciekawem byłoby wiedzieć nazwisko owego magnata, którego poglądy z poglądami paszkwiliisty musiały, bądź co bądź, pozostawać w pewnem pokrewieństwie.

Obrońca pokrzywdzonego miasta nader gorąco i energicznie zabiera się do walki z przeciwnikiem. Smaga go nie tylko prozą ale i rymami, a nie poprzestając na własnym dowcipie, ucieka się jeszcze o pomoc do poetów łacińskich, którymi suto pracę swą przystraja.

Po długich, wielce deklamacyjnych tyradach *ad hominem*, kreśli wreszcie dość szczegółowy obraz Warszawy oraz jej mieszkańców stałych i przyjezdnych (szlachty), nie szczędząc i miastu i obywatelom wszelkiego rodzaju „duserów”. Ta część jego pracy jest dla nas najciekawszą—jakkolwiek psuje ją nadmierny penegiryzm, nazbyt wszystko upiększający i powiększający.

Autor zaczyna rzecz od szczytu — od osoby Augusta III-go.

„Co się tyczy jego pięknej powierzchowności, wykrzykuje kędyż znajdzie się człowiek urodziwszy od niego i w którym dzielność duszy odpowiadałaby tak wybornie wyglądowi zewnętrznemu, łączącemu szlachetność z uprzejmością?!“...

Zaraz po królu, zwraca się do szlachty.

„Szlachta polska—naucza—wyróżnia się z pomiędzy szlachty innych narodów gładkiem obejściem i postępowaniem, pełnem wytwornej swobody; prze-

wyższa zaś francuskich nawet notablów wspaniałością pojazdów, mebli i pałaców, oraz wykwintnością stołu, który należy do najdelikatniejszych i najlepiej obsługiwanych w Europie“.

Skończywszy z tą dworacką czolobitnością, przechodzi wreszcie do właściwego opisu miasta, choć i tutaj nie rozstaje się na chwilę z właściwym sobie, a niewiadomo czy szczerym... entuzjazmem,

„W tej Warszawie—pisze—którą usiłują przedstawić nam, jako wartą śmiechu, wznosi się sto pałaców wspaniałych, przygotowanych najzupełniej do ugoszczenia stu książąt, a te wszystkie pałace, otoczone wielką liczbą domów mieszczańskich, stanowią dopiero przedmieścia właściwej stolicy”...

W tem miejscu, mimo całego patosu, nie może powstrzymać się od krytycznej uwagi:

„Ulice tych przedmieść są szerokie, długie i wybornie wybrukowane; mogłyby jednak, prawdę rzekłszy, być lepiej nieco utrzymywane we względzie błota”...

Widocznie przysłowiowe błoto warszawskie było zawsze nazbyt rażącą plagą naszego miasta, aby można nawet w penegiryku, zamknąć na nie oczy. Jednocześnie wszakże pochwała bruki, co jest już czystą fantazją; nie tylko bowiem w owej opecie, ale i za Stanisława Augusta, a nawet w początkach bieżącego stulecia, dobre bruki stanowiły zbytek, na który pozwalał sobie zaledwie środek Warszawy. Gdzieś indziej kładziono kamienie tylko po środku ulicy, pozostawiając po obu stronach przejścia dla pieszych wcale nie zabrukowane.

W memoryale, podanym królowi Stanisławowi

wania dwa kolegia wspaniałe, do których z całego kraju młodzież się zjeżdża. Jedno z tych kolegiów prowadzone jest przez jezuitów; drugie zostaje pod zarządem zacnych i uczonych duchownych, od których nazwy bierze swój tytuł: szkół pijarskich“.

Dalej wychwala autor zgromadzenie misyonarskie, zaznaczając, że jego to staraniem powstał szpital, obsługiwany przez szarytki (*soeurs grises*).

„Ponieważ ten szpital — dodaje — jakkolwiek obszerny, nie był w stanie pomieścić wszystkich biednych, którzy się doń cisnęli, znaleziono więc środki do urządzenia dwóch innych szpitalów, zależnych od tamtego”.

Dobroczynnem było widocznie miasto nasze po wszystkie czasy, jak to się okazuje z następujących słów autora broszury:

„Ludzie biedni posiadają bardzo wiele źródeł pomocy tak publicznych jak prywatnych; a wstydzący się zebrać mogą nawet zapewnić sobie wcale przyzwoite utrzymanie z zapomóg, jakie rozdają się peryodycznie w domach wielkich dygnitarzów i mieszczan zamożnych. W tem rozdawnictwie narodowość proszącego jest rzeczą podrzędną: wystarcza być biednym, aby doznać dobrego przyjęcia.

Zakony żeńskie pozyskały również wielkie uznanie naszego Francuza.

O „Karmelitkach“ (klasztor ich i kościół mieściły się tam, gdzie dziś kaplica i inne zabudowania Towarzystwa dobroczynności)—pisze, iż surowością klauzury wprowadzają go w zdumienie.

„Wizytkom“ oddaje sprawiedliwość, że jak-



kolwiek mniej od tamtych ciało swe umartwiają, stoją jednak na równi z nimi pod względem świątobliwości.

O „Sakramentkach“, których klasztorne zacisze zblizka oglądał, mówi co następuje:

„Ten klasztor zbudowany w obrębie Nowej Warszawy, nad samą Wisłą. Na przestrzeni, oddzielającej zabudowania klasztorne od rzeki, urządzone piękne tarasy, trawniki i kwietniki, stanowiące przyjemne, a szczelnie od świata odgradzone miejsce przechadzki, godne wspaniałomyślności monarchini, której kosztem zostały zaprowadzone. Gmach, w którym mieszkają zakonnice, odpowiada w zupełności owym tarasom. Kościół sam, odznaczający się silną budową, posiada nadto wewnątrz ozdobione najcudowniejszemi (!) dziełami pędzla. Zgromadzenie składa się z trzydziestu dziewięć znakomitego rodzaju“.

Ten zakon szczególnie zachwyca autora.

„Chciałbym skreślić—powiada—wierny obraz tego budującego i podziwu godnego życia, jakie wiodą świątobliwe damy, ale pióro zbyt słabe do takiego zadania, wypada mi z ręki. Przytem, obawiam się zadrasnąć ich skromność bezprzykładną“.

Wzmiankuje dalej o szczególnej opiece, jaką otacza zakon Sakramentek królowa i o poufnych odwiedzinach, jakie siostrom zakonnym składają jej córki. Ta wzmianka unosi go też zaraz w sferę inne. Począyna palić kadzidła rodzinie Augusta III, w której wszystko jest „wspaniałe, zadziwiające, szlachetne i bezprzykładne“. W żyłach królewien płynie krew „najczyściejsza w całym świecie i najszlachetniejsza“. Zdają się współzawodniczyć z

sobą i prześcigać wzajem w myślach i czynach godnych czci najwyższej...

Po długiej litanji pochwał, [uniżony dworak zdobywa się wreszcie na kolosalny frazes: „Są one (królowny) tego rodzaju, że żadną miarą nie można wydać o nich dokładnego sądu“ (?). I dodaje jeszcze w sposobie zamknięcia:

„Cnota ich kierowana jest przez rozum; sprawiedliwość rządzi ich wspaniałomyślnością, a dobroczynność ma przewodniczkę w roztropności“.

Sensu nie wiele — ale co za dobór szumnych określeń!

Jeżeli wysławianie córek królewskich obudza tak wielki dar krasomówstwa w naszym Francuzie, o ile wymowniejszym czynić go musi osoba samego monarchy... I w samej rzeczy przechodzi on tutaj samego siebie.

Pochwałę Augusta III rozpoczyna swoim zwyczajem wyznania swej nieudolności, wobec tak wielkiego przedsięwzięcia; zamiast jednak po tem wyznaniu naprawdę odłożyć pióro, na osiemnastu stronicach kreśli nadęty i przesadny panegiryk, w którym przyrównywa tego pospolitego, ospałego sasa, do największych mężów starożytności.

Zachwyca go w nim wszystko, nawet powierzchowność, którą jak wiadomo, przypominał bardziej Bachusa, niż Apolina...

„Nie było dotąd śmiertelnika — woła z emfazą — na którego licach łączyłaby się słodka łagodność ze wspanialszą wyniosłością. Majestat, z twarzy jego bijący, wskazuje od razu, że stworzony został do *panowania innym*; słodycz błyszcząca w oczach pou-

cza, że przeznaczeniem jego: zdobywać sobie miłość i uwielbienie wszystkich“.

Czytając te dworackie pochlebstwa, prawie połowę broszury zajmujące, przypuszczać można, że dla nich to głównie cała praca podjęta została. A mogła mieć ona widoki powodzenia, gdyż cudzoziemcy, dobrze widziani na dworze, dochodzili wówczas bez trudu wielkiego do znaczenia i fortuny. Niemcom przede wszystkim, a po Niemczech: Francuzom i Włochom dobrze działa się za Sasów w Rzeczypospolitej, co stwierdził sam autor broszury, w następnej strofie jej rymowanego działu:

Mille et mille étrangers, tous gens d'un vrai mérite,  
Viennent journellement y fixer leur séjour;  
L'amour de la patrie en vain les sollicite  
Et je n'en vois pas un songer à son retour.

Co prawda, te rymy, jeśli składają pochlebne świadectwo naszej gościnności, w niezbyt korzystnem oświetleniu stawiają natomiast nadużywających jej przybyszów. Tak zasmakować w cudzym chlebie, żeby aż dla niego wyrzec się własnej ojczyzny—nadto już to przypomina hasło prusaków: *ibi patria ubi bene*.

A do tej kategorii łatwo przystosowujących się filozofów musiał należeć i nasz chwaleca — widocznie bowiem bardzo mu na tem zależy, aby pozyskać możliwych przyjaciół i zapewnić sobie w stolicy Rzeczypospolitej wygodne legowisko...

Jednakże czując, że przy tylu słodyczach nie zawadzi choćby maleńkie ziarnko pieprzu, ośmiela się przy końcu swego obrazu Warszawy, wyrazić—



w formie własnego pragnienia i uprzejmej dla innych rady—kilku krytycznych uwag.

Pisze mianowicie:

„Ze wszystkiego, com powiedział, jasno wypływa, że nigdy jeszcze żadna satyra nie była tak całkowicie pozbawioną słuszności i sensu, jak ta, którą na tem miejscu zwalczyłem. Poprostu, pojąć nie można, jak autor owej satyry mógł w sposób tak zdumiewająco niezrozumiały wszystko w niej wywrócić na nice! Wszelako wyznać trzeba, że aby uczynić pobyt w tej stolicy jeszcze przyjemniejszym, wypadaloby wypełnić dwa dotychczasowe jej braki“...

Jednym z tych „braków“ nazywa niedość częste przebywanie w Warszawie Augusta III, (co jest fałszem, gdyż leniwy Sas, który po ojcu swym ani żywej wyobraźni, ani ruchliwego umysłu nie odziedziczył, przez całe lata nie ruszał się ze swego pałacowego gniazda); za drugi, słuszniej daleko, uważa: porządki administracyjno-policyjne, na których miastu naszemu po wszystkie czasy zbywało.

Tutaj, w formie nader oględnej, zaznacza przede wszystkim, iż organy wykonawcze miejscowej magistratury nie są dość silne, aby zmusić mieszkańców do utrzymywania domów i ulic w czystości.

Jaką była owa czystość poucza fakt, że na ulicy *Błońskiej*, vel *Szerokiej*, vel *Długiej*, częściowo tylko zabrukowanej, przed Arsenalem czyli „Cekhauszem“, (gdzie dzisiaj Dom badań), znajdowała się wielka nakształt sadzawski i *nigdy nie wysychająca* kałuża!

*O tem jednak dworski Francuz nie wspomina.*

Zaznacza dalej, że zaprowadzenie latarni, któreby rozjaśniały nocne ciemności, również „wydaje mu się“ rzeczą potrzebną: uważa też, że prócz nich, przydałyby się miastu i patrole, czuwające nad bezpieczeństwem publicznem...

Ostatnie życzenie nie prędko zostało spełnione. Patrole wojskowe, które w porze nocnej przebiegały miasto, strzegąc mienia i życia obywateli, zaprowadzono dopiero w r. 1792. A musiały one być wówczas już gwałtownie potrzebne, skoro jakiś Niemiec, Schulz, zwiedzający w tej epoce Warszawę, pisze:

„Niema tu ani stróżów nocnych, ani patroli. Policya nie dowiaduje się o ludziach przybywających do miasta, wskutek czego bezpieczeństwo publiczne pozbawione jest wszelkiej opieki, kradzieże zwiększają się nieustannie, a i o morderstwach już słyhać“...

Resztę broszury *Varsovie vengée*, wypełniają wiersze moralizatorskie, niemające żadnej już z główną jej treścią łączności.

---

## Niedoszły projekt „ulicy Króla Rzymskiego” w lasku Bielańskim.

Warszawa, odwiedzając corocznie Bielany, zastaje tam za każdym razem „wszystko, tak jak było”. I nie tylko: jak było, lecz gorzej, niż było.

Lasek coraz rzadszy, drzewa coraz niższe, piasek coraz głębszy, kurz coraz niezdrowszy. Pustynia podrywa coraz bardziej oazę, oaza staje się sama pustynią.

Gdzieidziej... (dalszy ciąg wiadomy).

W początkach i w połowie zeszłego wieku na Bielanach działo się lepiej. Warszawa jeździła tam nie tylko raz na rok około Zielonych Świątek, lecz we wszystkie piękne dni wiosny, lata i jesieni. W „Kuryerze Warszawskim” z owych lat spotyka się *nieustannie* wzmianki o zabawach, piknikach,



podwieczorkach i t. p., odbywanych w lasku Bielańskim.

Musiał tam być wówczas obszerny, ruchliwy, w jadło i napoje obfitujący, zakład restauracyjny. Może nawet było ich kilka. I nie mogły to być tylko „piwiarnie“ skoro na Bielany jeździli wytworzeni panowie z wykwiłtnemi damami, łaknęli zaś wszyscy w równej mierze świeżego powietrza, jak świeżych kurecząt, raków, szparagów, lodów—nie zominając, rozumie się, o węgierskiem i szampańskiem.

Ulubione miejsce wycieczek, ozłoczone poetyką aureolą wspomnień historycznych, postanowiono już przed stu laty przyprowadzić do niejakiego porządku, to znaczy: wyprowadzić cokolwiek ze stanu dzikości, której tam wówczas było widocznie zawiele.

Lasek, dziś tak łatwy do przejrzenia „na wylot“, był wówczas prawie puszcza nieprzejrzaną i do przebycia trudną. W gąszczach nie brakło dzikich zwierząt i dzikszyc jeszcze opryszków. Wszyscy niemal zbiegowie z więzień lub też poróżnieni ze sprawiedliwością i ścigani przez nią przestępcy tam przedewszystkiem szukali schronienia.

Zamierzano przeto gąszcze cokolwiek przerzedzić, drogi w lesie rozszerzyć i wyrównać, z „kniei“ uczynić „lasek spacerowy“, stałe miejsce wytchnienia i zabawy dla mieszkańców stolicy.

A tu zauważyć trzeba, że Bielany były wówczas względnie bliższe Warszawy, niż dziś, czyli raczej Warszawa była bliższa Bielan o całą dzielnicę,

dziś nieistniejącą, na której gruzach została zbudowana cytadela.

Myśl, może już za czasów pruskich powzięta, ale z roku na rok odkładana, doczekała się narodzin Księstwa Warszawskiego, pogańskiego niemal kultu Napoleona, wreszcie przyjścia na świat jego syna.

Ostatni fakt wprowadził ją na drogę do rychłego urzeczywistnienia.

Wiadomo, że pomiędzy rokiem 1806 a 1812, Napoleon był dla Polaków bożyszczem. Nawet gdy bożyszcze upadło, jeszcze w wielu sercach polskich wznosiły się na cześć jego ołtarze.

Hymny, śpiewane u nas wówczas na cześć Bonapartego, były wprost hymnami religijnymi.

Naród, zwracając się do własnych prochów królewskich, zdobywał się na takie zadziwiające inwokacye:

Trzyście wieków w grobie zależany,  
Wstań, Lechu, dzisiaj z wieczności siedliska!  
Wstań, Bolesławie, Chrobrym od nas zwany!  
Powstań Kazmierzu, z śmierci legowiska!  
Jeden swe berło, drugi kartę ziemi,  
Ten znów praw księgę, co nadał krajowi,  
Wszystkie swe dzieła, przez coście sławnemi,  
Rzućcie pod nogi — Napoleonowi!

Lutnie i harfy głosu wyższego (zarazem: piśkliwszego i fałszywszego) wydać chyba nie mogą...

Po wyczerpaniu wszelkich możliwych i niemożliwych objawów czci i miłości, Warszawa ofiarowała Napoleonowi — ulicę. Właściwie: ofiarowała *razwę ulicy*, przemianowawszy ulicę Miodową na

ulicę „Napoleona“. Przez lat kilka ta nazwa była urzędowa i dotąd czytać ją można na kilku planach Warszawy z owego czasu pochodzących.

Gdy w roku 1811 Napoleonowi urodził się syn, postanowiono natychmiast uczcić i jego podobnym hołdem i stworzyć nową „ulicę Króla Rzymskiego“.

W obrębie samego miasta, na ulicę taką, odpowiednio wielką i okazałą, miejsca nie było. Gdy kłopotano się gdzie go szukać, przypomniał ktoś czekającą na urzeczywistnienie myśl uporządkowania Bielani. Złączono obie myśli w jedno i ztąd powstał projekt „ulicy (właściwie wielkiej alei spacerowej) Króla Rzymskiego“—na Bielaniach.

Władze porozumiały się, projekt zatwierdzono—geometra Szpilowski otrzymał polecenie przygotowania odpowiedniego planu.

Te czynności wstępne, rozpoczęte w lipcu roku 1811, przeciągnęły się z nieznanymi powodów, do wiosny roku następnego.

Szpilowski wykonał zlecenie. Plan jego posiadam w swych zbiorach i pisząc to, mam go przed sobą. Nagłówek planu, rażąco niegramatyczny, (zapewne ułożony przez rysownika, który podpisał się u dołu: „*Sturm fecit*“) brzmi tak:

„Plan Bielani z Projektem zrobienia Ulicy Króla Rzymskiego, sporządzona (tak) w Roku 1812 przez Geometra (tak) Szpilowski (tak).“

Projektowana ulica-aleja zakreśla olbrzymie niezamknięte koło, którego idealne dopełnienie przechodzi przez klasztor kamedulów. Wewnątrz tego koła znajduje się inne, mniejsze, będące właściwie



łukiem półkolistym, mającym za cięciwę zewnątrz mur klasztoru.

Są tu zatem w rzeczywistości dwie wielkie aleje, które łączyły ze sobą sześć mniejszych ulic, biegnących w kierunku promieni koła. Aleja zewnętrzna ma w kilku miejscach półkuliste występy, przeznaczone na ustawienie posągów.

Całość przedstawia się pięknie i wspaniale.

Gdyby projekt został wykonany, z bezładnej gęstwiny powstałby prześliczny park, czyniący Bielany jedną z najpiękniejszych miejscowości podmiejskich. W tym kształcie prastary lasek oparłby się lepiej zniszczeniu, i dotrwał do naszych czasów w stanie ówczesnej, może nawet doskonalszej jeszcze, piękności.

Stało się wszakże inaczej...

W dniu 28 marca 1812 r. Prefekt Departamentu Warszawskiego przesłał następujące pismo do „Prześwietnej Izby Administracyjnej Dochodów Korony Księstwa Warszawskiego“.

„W skutku odebranego zapewnienia od Prześwietnej Izby Administracyjnej pod niem 5 lipca r. z., iż zechce być pomocną, aby w celu uwiecznienia pamiątki Urodzin Najjaśniejszego Króla Rzymskiego, w Lasku Bielańskim założoną była nowa Ulica do przechadzki, mam honor komunikować P. Izbie sporządzony w tej mierze Plan przez Budowniczego Departamentowego W-go Szpilowskiego, z prośbą wydania komu wypadnie potrzebnej dyspozycji, aby, znosząc się z tymże W-nym Szpilowskim, przy nadchodzącej wiosnie mogły być przynajmniej *sadzzone nowe drzewa* w półcyrkule i w ulicach ozna-

ezonych na planie literami *b*, *a*, *e*, i żeby niemniej zasypane były doły, które znajdują się w miejscach, gdzie teraz bywają rozbite namioty, czyniąc przechadzkę bardzo niedogodną.

Koszt na uskutecznienie tego projektu nie może być znaczny, gdyż w samym Łuku znajdują się drzewa młode do obsadzenia nowych ulic pod literami *a*, *b*, *c*, a ze sprzedaży drzew ściętych w ulicach projektowanych pod literami *d* i *e* wyniknie dostateczny fundusz na zapłacenie ludzi do wykopania dołów na sadzić się mające nowe drzewka, jako też na uplantowanie i zrównanie gruntu.

Pochlebia sobie Préfekt, iż powód, dla którego zamyśla się upięknąć Lasek Bielański będzie dostateczny do nakłonienia Prześw. Izby Administracyjnej, aby projekt ten mógł być jaknajprędzej doprowadzony do skutku.

Rzecz nie cierpi żadnej zwłoki, jeżeli jeszcze w tej wiosnie ulice nowe założone być mają.

*Nakwaski.*“

Jaki był dalszy przebieg sprawy?

W papierach swych znajdują tylko brulion odpowiedzi na odezwę Nakwaskiego, skreślony własnoręcznie przez Prezesa Izby Administracyjnej po niemiecku.

Prezes odpowiada—odmownie.

Izba Administracyjna zawsze będzie gotowa ofiarować swą pomoc w urzeczywistnieniu tak pięknego projektu, ale nie w tym kształcie, jak jej przedstawiono. Przysłany plan jest dla niej zbyt trudny, owszem, zgoła niemożliwy do wykonania.

Tu następuje wyszczególnienie owych niemożliwości.

Najpierw, Lasek Bielański jest własnością J. K. Mości Króla Saskiego i Księcia Warszawskiego—rozporządzać się w nim dowolnie nie można. Co więcej, Najjaśniejszy Pan powierzył tę swoją ulubioną posiadłość szczególnej opiece „Królewskiej Kamery“.

Następnie, żądane odrzewianie ulic i przesadzanie drzew jest rzeczą trudną i niewdzięczną. Stare drzewa przesadzać się nie dadzą, w lasku zaś nie ma szkółki, któraby mogła dostarczyć młodych latorośli. Trzeba-by je sprowadzać z innych lasów królewskich, ale i wówczas nie osiągnięto-by celu, gdyż młode drzewka wśród tak wielkich gąszczów pozbawione światła, nie przyjęły-by się.

Dalej, jest rzeczą więcej niż wątpliwą, czy pieniądze uzyskane ze sprzedaży wyciętych drzew wystarczyłyby na pokrycie tak znacznych wydatków—tembardziej, że Ojcowie Kameduli mają w lasku swe poręby i wystąpiliby niezawodnie z opozycją i pretensjami.

Wreszcie, zdaniem „Kamery Królewskiej“, twórca planu a wraz z nim Prefektura zawiele obiecują sobie po zamierzonym przekształceniu Lasku Bielańskiego — wskutku bowiem wielkiej nierówności gruntu oraz licznych wzgórz piaszczystych, ulice nie będą ani regularne, ani nie odkryją spodziewanych widoków...

Na tem kończą się moje źródła—a prawdopodobnie kończy się zarazem i historia całego projektu.



Przyszły niebawem wypadki ważniejsze, którym sprawy tak drobnego kalibru musiały zejść z drogi.

Projekt „Ulicy Króla Rzymskiego,“ choć piękny w sobie, narodowi miły a miastu użyteczny, upadł—jakby dla okazania fatalności, ciężącej nad osobą nieszczęsnego księcia, któremu nic udawać się nie miało...

A Lasek Bielański wciąż jeszcze na uporządkowanie czeka...

---

## Ulica Wązka

Warszawa z każdym dniem staje się... wygodniejszą. Chciałem napisać: piękniejszą, ale mi się pióro na tym wyrazie poślizgnęło. Zresztą pojęcia o piękności są względne, i nie każdy z Warszawian jednakowo ją sobie wyobraża.

Otóż Warszawa staje się wygodniejszą. Rzecz to pocieszająca. Szkoda jednak, że na ofiarę wygodzie poświęca się u nas tak wiele zabytków przeszłości i często drogocennych pamiątek.

Stare gmachy znikają z powierzchni naszego miasta tak szybko, że wkrótce wielowiekowy gród mazowiecki będzie wyglądał jak salon dorobkiewicza. W takim salonie wszystko błyszczy, bo nowe, bo nie pozostawione przez ojców i dziadów, lecz świeżo po sklepach skupowane.

Niedawno Warszawa straciła jedną ze swych dawnych uliczek, niepozorną, cichą, ale posiadającą pewien urok archaiczności, a nawet naswój *sposób malowniczą*.

Uliczka, łącząca Podwał z Długą i służąca głównie dla wygody pieszych, miała szerokości nie więcej niż dziesięć kroków, nazywała się też słusznie: Wązka.

Wązkość tej przecznicy, a właściwie tego zaułka, przez dwa wieki nikomu nie wadziła. Piesi chadzali środkiem lub pod murami, poszturgując się wzajem więcej lub mniej delikatnie; dorożkarze przy wymijaniu się dawali upust swemu niewyczerpanemu krasomówstwu—i było dobrze.

Ale co wystarczało piechurom i dorożkarskiej „sałacie“, nie mogło wystarczyć tramwajom. I właśnie dla wygody tramwajów uliczka Wązka przestała *de facto* istnieć. Rozszerzono ją tak bardzo, że dziś miałyby słusniejsze prawo do miana „Szerokiej“.

Ofiarą wygody padła w tym razie wielka posesya, której boki zajmowały całą jedną połąć uliczki, i która posiadała dwa czola, wcale do siebie niepodobne: jedno od Podwała, drugie od Długiej.

Wspominałem o dwuwiekowym istnieniu uliczki Wązkiej. W istocie, ona nie była ani młodszą ani starszą nad te lata. Może w wieku XVI i wcześniej biegła tędy zwyczajna, płotami ogrodzona dróżka, którą, wydostawszy się za mur miejski przez bramę „Boczną“ (u wylotu Dunaja), kierowali się ludzie ku ulicy „Szerokiej“ albo „Błońskiej“ (dziś Długa), istnienie jednak właściwej uliczki zaczyna się dopiero z początkiem wieku XVIII.

W tym to czasie, mianowicie w roku 1702, przy ulicy Błońskiej, właśnie na samym rogu owej dróżki, stanął piękny pałac. Wybudowali go zamiesz-



ni mieszczanie Witthofowie, do patrycyatu Starej Warszawy liczący się, skupiwszy grunty drobnych posiadaczy, leżące w bezpośredniem sąsiedztwie klasztoru ojców Paulinów.

Budowa pałacu trwała dwa lata, co dowodzi, że nam już wówczas na dobrych i energicznych rzemieślnikach nie zbywało.

Witthofowie (spolszczani obyczajem ówczesnym na Wittów), w pałacu swym nie zamieszkali. Mieszczanie *Antiquae Civitatis Varsaviae* nigdy w pałacach nie mieszkowali. Piękny gmach, zaraz po ukończeniu, został przez nich darowany Szulendorfowi. Popęd do darowizny był Witthofom jakby wrodzony. Jeden z nich obdarzył Jezuitów wielką naróżną kamienią w Rynku, w której oni pomieścili swe *Collegium*.

Ale i Szulendorfowi, który należał w połowie przynajmniej do mieszczaństwa, było nieswojsko w siedzibie pałacowej. Niebawem odstąpił ją (nie w podarku zapewne) Konstantemu Szaniawskiemu, biskupowi kijowskiemu. Wówczas dokonano pierwszej przebudowy gmachu, który w zmienionym kształcie dotąd stoi, mieszcząc w sobie obecnie Sąd Handlowy.

Okolo roku 1721 przebudowany pałac nabywa od księcia biskupa Jan Szembek, kanclerz wielki koronny.

W posiadaniu Szembeków gmach pozostaje przez pół wieku blisko, poczem przechodzi na własność Stanisława Mycielskiego, starosty lubiatowskiego.

*Żadne z wymienionych dotąd nazwisk nie*

utrwalilo się w pamięci Warszawian. Ten zaszczyt przypadł w udziale dopiero szóstemu nabywcy posesyi, którym był Filip Raczyński, generał wojsk Rzeczypospolitej. Przypadł może dlatego, że on sam nazwisku swemu dał rozgłos, kładąc je na czole nabytego i powtórnie przebudowanego gmachu.

Przez długie lata, wielki, metalowy napis głosił światu, że ten gmach to „Pałac Raczyńskich“. Później generał rozmyślił się i nazwał swą posiadłość skromniej: „Domem Raczyńskich“.

Wówczas i biegnąca bokiem pałacu uliczka nazywała się: Raczyńska.

Nazwisko rodziny, która miała głośnych i zasłużonych społeczeństwu przedstawicieli, długo przechowywało się w tradycjach ludu warszawskiego. Dziś jeszcze znaleźć można w dzielnicy staromiejskiej obywateli dawnej daty, dla których Sąd Handlowy mieści się w „pałacu Raczyńskich“.

W rzeczywistości ten pałac nie istnieje już od roku 1828. W tym czasie kupił go rząd na pomieszczenie Komisji Sprawiedliwości.

Cały lewy bok uliczki Wąskiej (wehódząc od Długiej) wypełniają oficyny tej wielkiej posesyi.

Mniej głośną i w mniej głośne nazwiska obfitującą jest kronika posesyi przeciwległej, zburzonej i na zawsze już z planu miasta wymazanej.

Ta posesya była już stąd niezwykła, że pochyły grunt, na którym ją wzniesiono, był zniwelowany za pomoeą wysokiego nasypu od strony Podwala. Na tym to nasypie znajdował się rodzaj ogrodu wiszącego, do którego wehodziło się od ulicy furtką po stromych, drewnianych schodach. Wnie-

chodzący uliczką Wązką widzieli w tem miejscu, na wysokości pierwszego piętra, wychylające się z ponad parkanu duże, stare drzewa. Była to jedna z osobliwości Warszawy, dzięki której ten punkt miasta przypominał uliczki miast południowych, rozzielenione wysokimi tarasami.

Dziś wznosi się na tem miejscu, na znacznie uszczuplonej przestrzeni, najpospolitszy w świecie „Dom dochodowy“.

Ciekawa posesya, którą zburzono, choć posiadała jeden numer hipoteczny, składała się w rzeczywistości z dwóch odrębnych połów.

Od ulicy Długiej wznosiła się zwykła duża kamienica, z zadziwiająco obszernym dziedzińcem, z którego wykrajanoby tuzin co najmniej dzisiejszych podwórzowych „studzienek“.

Od Podwała był wspomniany tarasowy ogródek, a w głębi ogródka wielki dwór o przestronnych komnatach, gdzie przez całe dziesiątki lat mieściła się piwiarnia.

Kamienica nie należała do bardzo starych. Wzniesiono ją w pierwszych latach zeszłego stulecia (wymieniona po raz pierwszy w taryfie z roku 1807), posiadała też w zewnętrzności swej wszystkie znamiona owej epoki.

Wystawił kamienicę Karoli, on też był posiadaczem i drugiej części posesyi, mianowicie owego „dworu“, choć o tem taryfy z końca XVIII w. nie wspominają.

Jest to ten sam Krystyan Karoli, zegarmistrz i mechanik warszawski, którego sportretował *Orłowski*, w ciekawej, odnalezionej niedawno akwa-



reli (podobiznę jej podały krakowskie „Wiadomości archeologiczno-numizmatyczne“ Bartynowskiego p. n.: „Orłowski w gronie swych przyjaciół warszawskich“) i do którego ciekawe listy rymowane pisywał M. Molski.

Taryfy z lat: 1784 i 1797 wymieniają jako właścicieli dworu: Kicińskiego generała i Przysuchowskiego (właściwie Przyszychowskiego; ciekawe o nim szczegóły znaleźć można w „Teofraście Polskim“ Henryka Rzewuskiego); zapewne jednak byli to tylko długoletni dzierżawcy dworu, po dzisiejszemu „lokatorowie“.

Ten dwór posiadał jedno wspomnienie, które mu za długą kronikę bezbarwnych szczegółów wystarczy.

Tu przez długie lata mieszkał Stanisław Trembecki! Wielki, dotąd przez jednego tylko Mickiewicza właściwie poznany i uznany poeta, pod drzewami tego ogrodu, które tak obojętnie zrąbano i w ogień rzucono, całe dni spędzał na czytaniu klasyków łacińskich oraz naszych pisarzy „okresu złotego“, częściej zaś jeszcze na samotnych, głębokich rozmyślaniach o początku i końcu nie tylko republik, lecz i świata całego...

Dotychczas po anegdotycznych, a nawet, niestety! i krytycznych historyach naszej literatury, pokutuje *karykatura* Trembeckiego - hulaki, pojedynkarza, kobieciarza, przedajnego dworaka i nieponia... Pokuszę się może kiedy, na podstawie zebranych dowodów, o wymalowanie prawdziwego wizerunku poety, takiego, jakim go widzę i jakim był w rzeczywistości, w owym, cichym podówczas,

drzewami ocienionym, a później pijackim harmidrem szynkowni sprofanowanym, dworze.

Szkoda mi tego dworu i tych drzew!

Już dla tego, że w tych miejscach największy polski poeta wieku XVIII, „częstkę swej duszy zostawił“, one były uświęcone, i należało się im poszanowanie.

Ale trudno. Wygodzie tramwajów musiało się stać zadość.

Jest to dla naszych czasów, a przedewszystkiem dla naszego miasta, *suprema ratio*.

---

## Sewerynów

Przez sześć dni w tygodniu, na Sewerynowie panuje pustka i milczenie. Wjesienne i zimowe wieczory dołącza się do nich ciemność, sprzyjająca włóczgom, niebezpieczna dla przechodniów.

Ale przede wszystkim: co to jest Sewerynów?

Każdy z mieszkańców wie, że ta nazwa służy placowi, a raczej dwom placom, leżącym po obu bokach obszernej, nie tyle wysokiej, co długiej i nie tyle pięknej, co praktycznej, posesyi, której właścicielem jest dziś książę Czetwertyński.

Nazwa narodziła się prawie równocześnie z posesyą, liczy więc prawie tyleż lat, co ona, to znaczy: niewiele więcej po nad półwiecze.

Gmach, dziś tam stojący, wybudował hr. Seweryn Uruski, i jego to imię utrwaliło się w nazwisku tego całego „obejścia“. Nie wybudował wszakże gmachu od zębów, *a fundamentis*, jak ongi w Starej Warszawie mawiano i na tablicach



kamiennych wypisywano) zastał już bowiem gotowe i zręby i mury—wszystko co prawda, w ruinie.

Kronika niniejszego gmachu, wypchanego lokatorami jak śledziami, i ztąd znaczny dochód przynoszącego właścicielowi, nie posiada kart ciekawych — chyba tę jedną tylko, że tu kiedyś, w ciasnym mieszkanku, z liczną rodziną i liczniejszym jeszcze księgozbiorem, dusił się i pracował znakomity Julian Bartoszewicz, i że tu zapewne przyszedł na świat jego syn Kazimierz, utalentowany publicysta i historyk. Natomiast ciekawe są dzieje owych „ruin“, na których ta pakowna posesya wyrosła.

„Dynasami” nazywamy dziś jedynie miejsce, w którym osiedli cykliści warszawscy. Przed półwieczem, zanim jeszcze hr. Uruski ochrzcił swój gmach i place przy nim własnym imieniem, powyższa nazwa i do nich się stosowała.

Wszystko, co leży w czworoboku, zamkniętym ulicami: Aleksandryą, Obozną, Topielą i Tamką, prawy syn Warszawy nazywał niegdyś: „Denasowskie“, „Dynasowskie“, lub wreszcie: „Dynasy“.

Źródłosłowem tych wszystkich imion było nazwisko rodziny książęcej de Nassau, znanej naszemu ogółowi choćby tylko z opowiadanej przez Wojskiego w „Panu Tadeuszu“:

Historji o dziku Nalibockich lasów

I o kłótni Rejtana z ksiąźciem Denasów...

Ten „ksiąź Denasów“ jest tym właśnie, o którego nam tu chodzi — tym, co upamiętnił się w *historji Warszawy* przechowaną do dziś nazwą.

Zapałony myśliwy, podróżnik, hulaka, pojedynkarz, poszukiwacz przygód niezwykłych, ów książę uosabiał dość pospolicity w XVIII w. typ tak zwanego *l'aventurier*, co się u nas niedość ściśle tłumaczy przez „awanturnik“.

Niezwykły żywot księcia opowiedział zajmująco Bartoszewicz w „Znakomitych mężach XVIII wieku“—dziele, w którym jest wszystko doskonale, prócz... tytułu. Bo czyż można naprzykład mianem „znakomitego męża“ czcić magnata, który całe życie przestrzelał, przepił, przeawanturował, a przechwalając się z zabijania oszczepami lwów w Afryce, stehórzył sromotnie przed niedźwiedziem w puszczy litewskiej?...

Książę de Nassau, spolszczony przez Mickiewicza, w duchu języka naszego, na Denasowa, ożenił się z wdową po wojewodzie podlaskim, jmcpanią Karoliną Gozdzką. Do wiana wojewodziny należał, między innymi, obszerny dwór drewniany w Warszawie, stojący na wyniosłym wzgórzu nad Wisłą. Był to dwór piękny i mocny, cały z modrzewia, sięgał zaś swym początkiem pierwszych lat XVII—może ostatnich XVI-go wieku.

Ten dwór, niebawem po powtórnych ślubach wojewodziny, spłonął.

Książę-małżonek upodobał sobie miejsce, z kądem piękny roztaczał się widok na powiśle i zawiśle; na świeżem pogorzeliisku kazał budować nową dla siebie siedzibę. Miał to być już nie dwór, lecz pałac; za materyał do niego nie modrzew brano, lecz cegły, marmur, bronz.

Z pałacem księcia stało się, niestety, to samo,

co z jego przygodą litewską w opowiadaniu Woj-  
skiego: nie miał być nigdy dokończony...

Książę umarł w 1809 r., gdy budowa była za-  
ledwie do połowy doprowadzona. Niebawem za mę-  
żem poszła żona. Dzieci nie było — niewykończony  
pałac, będący raczej ciężarem, niż dobrodziejstwem,  
odziedziczyła wychowawca, pani Butiagin, która,  
rozumie się, o kończeniu kosztownego przedsięwzię-  
cia ani pomyślała.

I wówczas to do osobliwości Warszawy przy-  
były „Dynasy“, rzecz w swoim rodzaju jedyna: rui-  
ny pałacu, który nigdy nie był pałacem...

„W ruinach pałacu Dynasowskiego (opowiada  
w jednej ze swych przygodnych notatek ś. p. Ju-  
lian Heppen) mieszkali biedni ludzie, między inny-  
mi niejaacy Gwizdalewice, którzy trudnili się wy-  
robem garnków. Cała przestrzeń dokoła nie była  
ogrodzona, a przystęp do niej główny stanowiła uli-  
ca Aleksandrya. Rosła tu trawa i zielsko, gdzie-  
gdzie napół usechłe drzewko; pasły się krowy i ko-  
zy; na sporym stawie latem pływały gęsi i kaczki,  
w zimie była ślizgawka...”

Dodajmy, że w obszernych podziemiach pała-  
cu odbywały się schadzki tajemne—podobno pozos-  
tające w związku z wolnomularstwem, przez cesa-  
rza Aleksandra I urzędownie u nas skasowanem.

Jak odludne i dzikie było to miejsce dowodzą  
dwa potoczne ale znamienne fakty. Dynasy były  
schroniskiem włóczęgów poróżnionych z prawem  
i sztubaków pokłóconych z... nauką. Pierwsi mieli  
tu swoje nocne obozowiska, drudzy przybywali za  
*dnia, podczas godzin szkolnych na „palanta” oraz*



inne gry i zabawy. Jedni i drudzy czuli się na Dynasach dostatecznie zabezpieczeni od pościgu. Jednocześnie, na pochyłości wzgórza cała armia bosonogich obdartusów uzbrojonych w łopaty, ryła głębokie rowy i doły. Byli to warszawscy piaskarze, zwani inaczej „piaskauerami“, zaopatrujący się w piasek „polowy“.

Całe dziesiątki lat trwała ta idylla...

W najdawniejszych (drukowanych) taryfach warszawskich, numery hipoteczne 2779 i 2782 są zapisywane dwukrotnie, przy dwukrotnem również wymienieniu jaśnie [oświeconego księcia de Nassau jako właściciela.

Od 1807 roku, a więc jeszcze przed śmiercią księcia, Nr. 2782 rozdziela się wyraźnie na 2782a i 2782b, przyczem, obok „pałacu“ książęcego pojawia się „dom drewniany“ jakiegoś Bauera. W 1821 roku przy pałacu czytamy nazwisko pani Butiagin (piszą je również Butaquin). Bauer wciąż trwa przy swym skromnym, drewnianym domku. Ale w dziesięć lat później domek staje się już kamienicą, i w rękę tegoż Bauera widzimy go jeszcze w 1850 roku. W końcu—jak to bywa zawsze przy wytrwałości i rzadności — ten domek rodzi inne, większe od siebie domy, bogacąc taryfy późniejsze literami e d i t. d.

Tymczasem „Dynasy“ zmieniły właściciela. Pani Butiagin czy Butaquin wychodzi za mąż za hr. Cetnera, a dzieci jej sprzedają osobliwe ruiny jakimś Szweneichowi. Szweneich trzyma je zaledwie dwa lata i odprzedaje hr. Sewerynowi Urw-

skiemu—od którego zaczynają się dzieje dzisiejszego, właściwego Sewerynowa.

\*

\*

\*

Hr. Uruski, nabywając ruiny pałacowe, nie miał bynajmniej zamiaru wyprowadzania z nich nowego pałacu. Posiadał już go zresztą gdzieindziej. Trochę ekonomista (w praktycznym znaczeniu tego wyrazu) założył sobie cel bliższy i użyteczniejszy: postanowił uczynić Sewerynowów jednym z ognisk handlowych Warszawy.

Być może, iż w projektach hrabiego nowe gmachy i przylegające doń place miały stać się nowym „Marywillem”—owym kotłem olbrzymim, w którym gotowało się ongi, zarówno dniem jak nocą, wszystko, czem za pieniądze nasycić można różnorodne smaki i głody—gdzie „traktyernie i księgarnie, artyści i rzemieślnicy, tandeciarze i bankierzy pospołu się mieścili...” Cokolwiekbądź, sam kształt i rozkład gmachu wskazują, że miał być—bazarem.

W opisie Warszawy z 1852 r. o numerze 2779 powiedziano: „Pałac hr. Uruskiego Seweryna (dawniej *Denassowski*).—Gościenny Dwór.—Sklepy dla kramarzy.—Jatki rzeźnicze.—Rynek Sewerynowów.—Targ dla przekupniów i fur z produktami przybywających”.

Plany hrabiego tylko częściowo dały się urzeczywistnić. Stały im na przeszkodzie dwie okoliczności: najpierw sąsiedztwo „Ordynackiego”, gdzie *ruch handlowy* oddawna się skupiał i z każdym

dniem potężniał; następnie położenie, choć wygodne i dogodne, ale—na uboczu.

Warszawiacy i Warszawianki nie lubią zbaczać. Drogą prostą, szeroką, „pryncypalną“, zajdą choćby na koniec świata, a przynajmniej... na Nalewki—konieczność wszakże zrobienia kilku kroków w prawo lub lewo już ich zniechęca.

Próba ze sklepami nie udała się. „Gościenny Dwór“ upadł, przekazując nazwę i treść swą dawnej halli targowej za Żelazną Bramą. Jatki rzeźnicze istnieją, lecz tylko w pewnych godzinach otwierane i znoszące z trudnością współzawodnictwo „Ordynackiego“. Fury, a właściwie wozy stawają niekiedy w dnie powszednie, czekając (zwykle bardzo długo), czy kto z ich usług nie skorzysta. Pod długą kolumnadą osiedli zwykli „lokatorzy“, przeważnie rzemieślnicy, poprzerabiawszy sklepy na warsztaty i mieszkania... Z całego programu ocalał tylko i nadspodziewanie rozwinął się: „Targ dla przekupniów“.

K O N I E C.





## SPIS RZECZY.

---

	<i>Str.</i>
Kamienice w Rynku Staromiejskim . . . . .	5
Nieznana broszura o Warszawie z w. XVIII-go	128
Niedoszły projekt „ulicy Króla Rzymskiego“ . . . . .	144
Ulica Wązka . . . . .	152
Sewerynów . . . . .	159

---

# „Goniec Poranny i Wieczorny“.

NAJPOCZYTNIJSZE PISMO POLSKIE.

Wychodzi dwa razy dziennie przy współpracownictwie wybitnych publicystów i literatów polskich.

GONIEC stoi na straży ideałów narodowych i wyznaje zasady szczerze demokratyczne. Wielka poczytność „Gońca Porannego i Wieczornego“ czyni go najodpowiedniejszym pismem dla wszelkich ogłoszeń.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje główny Kantor, Zgoda 5, oraz nasze filie i kantory.

Cena prenumeraty „Gońca Porannego i Wieczornego“:

w Warszawie: miesięcznie kop. 60; kwartalnie rb. 1.80; rocznie rb. 7.20;

z przesyłką pocztową: miesięcznie kop. 75; kwartalnie rb. 2.25; rocznie rb. 9;

zagranicą: miesięcznie rb. 1.30; kwartalnie rb. 3.90.

Zmiana adresu poczt. kop. 20.

Za odnośnienie miesięcznie 15 kop. Cena egzemplarza „Gońca Porannego i Wieczornego“ w Warszawie 2 kop., na prowincyi 3 kop.







Stanford University Libraries



3 6105 121 190 966

4  
·  
V

DATE DUE

DATE DUE			

Stanford University Libraries  
Stanford, Ca.  
94305



